

poprostu

STUDENCKIE CZASOPISMO SPOŁECZNO-LITERACKIE
ZARZĄDU GŁÓWNEGO ZWIĄZKU MŁODZIEŻY POLSKIEJ

MARIAN KUSA

Optymistyczne podsumowanie

Dobiegły końca Centralne Eliminacje Studenckich Zespołów Światlicowych. Po łódzkich występach zespołów pieśni i tańca, chórow, zespołów tanecznych i popisach wokalistów zobaczyliśmy jeszcze w Toruniu występy zespołów dramatycznych i wreszcie w Warszawie programy satyryczne. W sumie przez scenę przesunęło się kilkadziesiąt zespołów różnego rodzaju z bogatym programem i pomysłami godnymi niejednokrotnie naszych najlepszych teatrów. W występach eliminacyjnych odbiła się cała różnorodność kulturalnych zainteresowań młodzieży studenckiej, jej zapal i inwencja.

Nie będzie przesadą stwierdzenie, że tegoroczne eliminacje jako całość były znacznie ciekawsze od podobnych imprez w latach ubiegłych. Jeżeli nie byliśmy zachwyceni pierwszym etapem eliminacji, który odbył się w Łodzi i nie przyniósł wiele nowego, to występy zespołów dramatycznych, a szczególnie satyrycznych przeszły wszelkie oczekiwania. Dowiodły one, że te formy pracy kulturalnej, które dają przez swą atrakcyjność maksimum twórczego zadowolenia i dużo możliwości wypowiedzenia się, znajdują zawsze licznych zwolenników.

Zaczynając od zespołów teatralnych. Na eliminacjach w Toruniu zobaczyliśmy aż 10 utworów dramatycznych, co stanowi największą do tej pory liczbę i świadczy o niebyłym jakimś rozwoju studenckiego teatru amatorskiego w okresie ostatnich trzech lat. Niektóre zespoły wykazały godne naśladowania ambicje w poszukiwaniach repertuarowych. Zespół Politechniki Warszawskiej wystawił mało u nas znaną sztukę angielskiego pisarza Johna Galsworthy'ego — „Srebrna szkatułka”, demaskującą moralną i polityczną postawę angielskich liberałów, a zespół Uniwersytetu Jagiellońskiego sięgnął po równie mało znaną sztukę Brechta „Karambiny matki Carrara”, której akcja toczy się podczas wojny domowej w Hiszpanii. W poszukiwaniach ciekawych i dobrych sztuk niezbyt dobrze trafił zespół Wyższej Szkoły Ekonomicznej w Szczecinie, który opracował sztukę Davidsona i Borowina „Student III roku”. Tematyka studencka utworu nie zrekompensowała niestety poważnych wad w konstrukcji sztuki i dużego schematyzmu występujących w niej postaci. Doświadczenie nie tylko zespołu szczecińskiego uczy, że zamiast wygrzebywania za wszelką cenę mało znanych, ale często słabych utworów, z którymi nawet zespół zawodowy miałby poważne kłopoty, lepiej wystawić jakąś dobrą klasyczną sztukę, która da na pewno więcej zadowolenia i pożytku. Tak zrobił zespół Uniwersytetu Poznańskiego, wystawiając z pełnym sukcesem „Wieczór Trzech Króli” Szekspira, czy zespół Politechniki Gdańskiej, który opracował znaną z lat ubiegłych „Nawojkę”.

Charakter niniejszego artykułu nie pozwala na szczegółowe omówienie każdego przedstawienia. Zajmijmy się więc kilkoma najważniejszymi spostrzeżeniami, które nasuwały się ze szczególną wyrazistością podczas oglądania poszczególnych spektakli.

Sprawa pierwsza — to reżyseria. Niewątpliwie zdrowym i pożytecznym zjawiskiem jest fakt, że ze studenckimi zespołami dramatycznymi współpracują aktorzy lub reżyserzy teatrów zawodowych. Daje to dużą gwarancję uniknięcia wszelkich pomyłek w odczytywaniu i scenicznej interpretacji utworów. Spektakle, które oglądaliśmy w Toruniu, były na ogół czytelne i poprawnie zinterpretowane. Nie zawsze jednak główna myśl sztuki docierała do widza dostatecznie mocno, sugestywnie. Przykładem takiego niedowładu było przedstawienie sztuki Rachmanowa i Rysa — „Okno w lesie” w wykonaniu zespołu UMK w Toruniu. Wszystkie sceny o charakterze sensacyjnym, niecodziennym przemawiały do widza same przez się, nie trzeba ich było specjalnie wypunktowywać aktorsko. Zawiodły natomiast te, które oparte były przede wszyst-

kim na mało dramatycznym dialogu, a które w wypadku tej sztuki przynosiły jej istotną wymowę. W rezultacie myśl autorów, którzy chcieli ukazać wielki szacunek narodu radzieckiego i partii dla nauki oraz opiekę, jaką partyzanci w najcięższych chwilach wojny olaczali profesora Kostrowa, jego asystentów i ukryte wśród lasów laboratorium — myśl ta zepchnięta została na daleki plan przez sensacyjny wątek wykrywania niemieckiego szpiega, który zakradł się do obozu partyzantów i pozyskał zaufanie profesora.

Wiadomo, że dobre prowadzenie dialogu, wygrywanie najważniejszych jego miejsc jest dla wykonawców — amatorów rzeczą najtrudniejszą. O wiele lepiej dają sobie oni radę ze scenami pełnymi ruchu i nieoczekiwanych sytuacji. Stąd wnioszek dla reżyserów: więcej uwagi i troski przy wypunktowywaniu najważniejszych dla wymowy sztuki momentów. Jeszcze zbyt wiele przedstawień raziło jednostajnością, sprawiało wrażenie poprawnego odczytania tekstu sztuki.

W porównaniu z latami ubiegłymi dużą radość sprawił poziom aktorskiego wykonania poszczególnych sztuk. Do wyjątków należały wypadki niedostatecznego opanowania pamięciowego roli, czy też niepełnego jej zrozumienia i w związku z tym mylnej interpretacji tekstu. Niektórzy z wykonawców zaskakiwali dużą różnorodnością środków wyrazu. Warto tu wspomnieć o Czesławie Męcnar, która wyjątkowo prawdziwie i wzruszająco zagrała trudną rolę Matki Carrara w sztuce Brechta. Podobnych przykładów utalentowanych wykonawców można byłoby znaleźć więcej.

W trosce o coraz lepszy poziom tak żywo rozwijających się studenckich zespołów dramatycznych trzeba koniecznie jeszcze wspomnieć o jednym ujemnym zjawisku, dotyczącym gry, które wyraźnie zaciążyło na bardzo wielu przedstawieniach. Mowa o dużym skrupowaniu i sztuczności większości wykonawców w zachowaniu na scenie. Brak swobody, naturalności, oto poważny mankament znacznej części eliminacyjnych spektakli obniżający ich poziom artystyczny. Warto tu spopularyzować metodę jednego z aktywnych w ruchu amatorskim reżyserów, polegającą na przeprowadzaniu równoległe z próbami prostych ćwiczeń gimnastycznych. Mają one na celu rozluźnienie mięśni, wyrobienie dużej elastyczności ciała. Pomaga to bardzo do uzyskania swobody na scenie, gdzie przecież wszystkie nienaturalne ruchy widać o wiele jaskrawiej niż normalnie.

Jeden tylko spektakl podbił widzów swobodą i scenicznym obyczajem a mianowicie „Pulkownik Foster” przynajmniej się do winy” w wykonaniu studentów UMK w Toruniu. A już Leszek Sikora, grający z dużym powodzeniem amerykańskiego porucznika — Jimmy'ego, przeszedł niejednego aktora zawodowego.

Szkoda, że nie możemy niestety szerzej napisać o zdobywcy pierwszego miejsca — zespole Uniwersytetu Poznańskiego, który wystawił „Wieczór Trzech Króli” Szekspira. Nie udało nam się go obejrzeć. Na skutek skomplikowanych okoliczności, znanych tylko organizatorom, występ tego zespołu nie był początkowo przewidziany w eliminacjach i dopiero w ostatniej chwili zespół zjechał do Torunia, dając przedstawienie w kilka godzin po oficjalnym zakończeniu pokazów, późno wieczorem. Według opinii członków jury i rozentuzjasmowanej widowni, o czym dowiedzieliśmy się od naczynych świadków, było to najbardziej interesujące przedstawienie i pod względem poziomu artystycznego daleko wyprzedzające inne zespoły.

✱

Prawdziwym fajerwerkiem, który zabłysnął na zakończenie eliminacji, były występy studenckich teatrów satyrycznych w Warszawie. Ten rodzaj imprez artystycznych jest

(Dokończenie na str. 5)

MAGIA, SPEKULACJA, DOMYSŁY

Przez długie wieki hipnoza była domeną różnych nienaukowych koncepcji. Starano się zagadnienia te



Scena z „Nawojki” Hanny Januszeuśkiej w wykonaniu zespołu dramatycznego Politechniki Gdańskiej.

Sen i hipnoza były z dawien dawna przedmiotem szczególnego zainteresowania. Wiadomo, że najważniejszym przejawem snu jest zmiana normalnego stosunku ustroju do świata zewnętrznego. Człowiek śpiący ma znacznie obniżoną zdolność reagowania na działanie bodźców zewnętrznych. Im sen jest głębszy, tym mniej jest reakcji na bodźce, lub tym silniejszych trzeba bodźców, aby reakcję wywołać i przerwać sen.

Stan hipnozy charakteryzuje się również zmianą normalnego stosunku do otaczającego świata zewnętrznego. Zachodzi tu ograniczenie reagowania na bodźce świata zewnętrznego przy zachowaniu jednak pewnej, ale już jedynie więzi ze środowiskiem zewnętrznym. Więzią tą jest kontakt zahipnotyzowanego z osobą hipnotyzera. Zahipnotyzowany wypełnia polecenia hipnotyzera, odpowiada na jego pytania, ale na żadne inne bodźce zewnętrzne nie reaguje. W czasie hipnozy słowa hipnotyzera nabierają dużej, mocy sugestywnej dla osoby hipnotyzowanej, są one dla niej nakazem, który posłusznie spełnia i który nawet po przerwaniu hipnozy może utrzymać swoją moc i znaczenie.

Stan hipnotyczny wywołuje się najlepiej w warunkach towarzyszących zwykłej wystąpieniu snu. Hipnotyzowany powinien więc wygodnie leżeć, światło w pokoju powinno być przytłumione i powinna panować cisza. Stan hipnotyczny wywołuje się albo przez wpatrywanie się hipnotyzowanego w jeden (najlepiej blyszczący) punkt, albo drogą rytmicznego dotykania przez hipnotyzera twarzy, ramion i rąk hipnotyzowanej osoby (tzw. pasy hipnotyczne), albo też przez kilkakrotne powtórzenie przez hipnotyzera polecenia zaśnięcia. Na nakaz wydany przez hipnotyzera zahipnotyzowany wychodzi ze stanu hipnotycznego i wraca do stanu pełnej świadomości.

rozwiązać przez przyjmowanie działań różnych „nadprzyrodzonych” sił. Zjawisko hipnozy znane było jeszcze w starożytności. Np. starożytni kapłani w Egipcie, w Persji, w Indii pociągali się do usypiania ludzi za pomocą hipnozy dla otoczenia swojej kasty nimbem tajemniczości i kultu; leżało to w interesie kasty, żerującej na zacofaniu i ciemności mas.

Przez długi czas dociekania nad istotą snu i hipnozy sprowadzały się do zagmatwanych rozważań na temat działania „sił duchowych”, na temat stosunku duszy do ciała. Zjawiska hipnozy odegrały poważną rolę również wśród gusiel, zaklę-

sen) dla określenia tego szczególnego zjawiska. Braid wywoływał stan hipnotyczny polecając badanym wpatrywać się w blyszczący przedmiot. Stosował on hipnozę głównie w celu leczenia różnych chorób oraz dla usmierzania bólów w czasie operacji.

Na przełomie wieku XIX i XX literatura fachowa dotycząca zagadnień snu i hipnozy znacznie wzrosła. Ukazało się na ten temat wiele prac fizjologów, psychologów, lekarzy i biologów. Stworzono wielką liczbę różnych teorii, które jednak nie tłumaczyły istoty i mechanizmu powstawania snu i nie potrafiły rozstrzygnąć czy stan hipnotyczny jest snem i czy jest to stan fizjologiczny.

Prof. dr med. ANDRZEJ JUS Hipnoza

„cudów” i „czarów” średniowiecza”.

Nie brak także idealistycznych teorii hipnozy tworzonych przez samych lekarzy. Wspomnieć tu należy o wiedeńskim lekarzu Mesmerze, który z końcem XVIII w. stworzył mistyczny-fantastyczną teorię hipnozy. Według tej teorii opartej o modne podówczas poglądy o znaczeniu wpływu magnetycznego ciała niebieskich na życie ludzkie, hipnoza miała polegać na wydzieleniu przez szczególnie uzdolnionego do tego osoby specyficznego „fluidu”, tzw. „zwierzęcego magnetyzmu” wywołującego zahipnotyzowanie drugiej osoby.

Teoria Mesmera znalazła wielu zwolenników i dopiero w połowie ubiegłego stulecia chirurg Braid był pierwszym, który podszedł w sposób bardziej naukowy do zagadnienia hipnozy. W swojej pracy „Neurohipnologia” wyraził on pogląd, że hipnoza jest stanem podobnym do snu. Braid pierwszy użył nazwy hipnoza (od greckiego słowa hipnos tzn.

Calkowite zamieszanie w dziedzinie zagadnień snu i hipnozy spowodował pod koniec ubiegłego wieku Freud, twórca idealistycznej teorii psychoanalizy. Freud, w oparciu o filozoficzne koncepcje Nietzschego, (głoszącego, że świadomość jest wyrazem nieświadomych impulsów i sił), degradował zupełnie rolę i znaczenie świadomości ludzkiej. Posługując się metafizycznymi terminami Freud głosił, że hipnotyzator wchodzi w miejsce „ideal-ego” hipnotyzowanego. (Wg Freuda w podświadomości człowieka tkwi bliżej nieokreślony „ideal-ego” — ideał „ja”, który wyznacza jego zachowanie).

Nienaukowe koncepcje Freuda, do dziś uznawane i rozpowszechniane

DZIŚ W NUMERZE:

CONFITEOR
RADOŚCI
ŻYCIA

str. 3

JERZY
KOSSAK
O SZCZĘŚCIU

str. 4

APELACJA
OD „WYROKU”
STADNICKIEGO

str. 7

Apel

My, studenci Akademii Sztuk Plastycznych i Wydziału Historii Sztuki Uniwersytetu Jagiellońskiego w Krakowie, zgromadzeni na wspólnym wiecu, uważamy za niezbędne wystąpić do najwyższych organów naszego państwa w imieniu studentów wszystkich szkół artystycznych w Polsce oraz szerokiego mas społeczeństwa z gorącym apelem. Prosimy o podjęcie wszelkich możliwych kroków, oraz o wystosowanie prośby do Rządu Niemieckiej Republiki Demokratycznej w sprawie eksponowania w Polsce powracających za kilka miesięcy ze Związku Radzieckiego arcydzieł Galerii Drezdeńskiej. Zdajemy sobie sprawę z trudności i kosztów takiego przedsięwzięcia, lecz uważamy, że taka wystawa opłaci się sto-krotnie.

Wystawa Galerii Drezdeńskiej byłaby wydarzeniem w naszym życiu kulturalnym na olbrzymią miarę, zwiedziłaby ją przecież ty-siące, rozszerzyłoby się pojęcie o sztuce ludzi, którzy nigdy wielkiego malarstwa nie widzieli. Pomoże to i nam, studentom szkół artystycznych, pogłębi naszą kulturę artystyczną i intelektualną. Zgoda NRD na urządzenie tej wystawy u nas byłaby jeszcze jednym wspaniałym wkładem w dzieło przyjaźni między naszymi narodami.

STUDENTKI I STUDENCI ASP
ORAZ WYDZ. HIST. SZTUKI UJ
W KRAKOWIE

w krajach zachodnich, a zwłaszcza w Stanach Zjednoczonych, rozpatrzmy zjawisko snu i hipnozy w całościowym oderwaniu od pracy układu nerwowego. Takie ujęcie zagadnienia zupełnie nie może rozwiązać ani mechanizmu powstawania, ani istoty omawianych zjawisk.

NAUKA WYJAŚNIA TAJEMNICE

Zobaczmy teraz jak w porównaniu z tymi spekulatywnymi koncepcjami idealistycznymi wyglądają osiągnięcia nauki opierającej się na materialistycznym światopoglądzie. Mamy tu na myśli osiągnięcia związane z pracami wielkiego fizjologa rosyjskiego — Pawłowa, którego nauka stanowi jedną z największych zdobyczy w poznaniu głębokich tajemnic mózgu, najdoskonalszego i najbardziej skomplikowanego narządu człowieka.

Jedną z naczelnych zasad nauki Pawłowa jest ujmowanie organizmu żywego w ścisłym związku ze środowiskiem i wykazanie, że środowisko działa na organizm właśnie przez ośrodkowy układ nerwowy. Zmiana więc stosunku organizmu żywego do otaczającego środowiska (taka właśnie zmiana obserwujemy w stanie snu zwykłego czy hipnotycznego) wiązać się musi ze zmianą stanu czynnościowego mózgu. Wyniki doświadczeń przeprowadzonych przez Pawłowa pozwoliły mu na odkrycie istoty oraz fizjologicznych mechanizmów powstawania snu i stanu hipnotycznego.

Uprzednio jeszcze badania Pawłowa i jego uczniów wykazały, że w układzie nerwowym przebiegają dwa rodzaje przeciwstawnych, ale ściśle ze sobą związanych procesów nerwowych: pobudzenie i hamowanie. Badania nad odruchami warunkowymi, których wykrycie jest wielkopomną zasługą Pawłowa, wykazały, że oba te procesy nerwowe mogą przebiegać w najwyższej części mózgu, w korze mózgowej i, że rządzą nimi pewne określone prawa.

Na podstawie wyników długotrwałych doświadczeń na psach i wielu obserwacji dokonanych na ludziach Pawłow mógł sformułować twierdzenie, że sen jest hamowaniem szeroko rozprzestrzeniającym się

(Dokończenie na str. 2)

WIEŻA BABEL

Jak wiadomo — potomkowie Noego nie wnieśli sięgającej niebios wieży Babel, bowiem „języki ich zostały pomieszane” i nie mogli się ze sobą porozumieć. Gdyby stało się inaczej „nikt nie zabroniłby wszystkim co zamyślił uczynić”.

Aforystyczny sens przypowieści o wieży Babel jest rozległy i nie należy rozumieć go ciasno, dosłownie. Dziś luźnie „różnego języka” uczą się sztuki porozumiewania. Uczą się uparcie, z mozołem, niweczając i pokonując uprzedzenia, przesady, zakorzenione odwieczną inercją komunalną.

Nie, doprawdy mowa tu nie o nauce języków obcych. Przy dzisiejszym stanie rozwoju wiedzy lingwistycznej i... techniki, kiedy delegaci konferencji międzynarodowych, siedząc w sali kongresowej ze słuchawkami na uszach, mogą słuchać przemówień w pięciu językach — nie to jest sprawą najważniejszą. Niekiedy przecież niezmiennie trudno porozumieć się ludzimi rozmawiającym tym samym językiem, jeśli świat ich pojęć jest odmienny... Chodzi więc o jakiegoś „języka” — w ten właśnie sposób pojętego — potrafia, chcą i umieją się wzajemnie ze sobą porozumiewać.

Jeśli by pokusić się o jak najbardziej wzięte ujęcie najbardziej powszechnej tendencji rozwojowej, tendencji ogarniającej wszystkie kraje i narody, trzeba by dać odpowiedź: porozumienie, współzestawienie, pokój. Głosy na rzecz tej trójczłonowej dewizy brzmią rozmaicie, choć wszystkie posiadają ten właśnie wspólny mianownik. Na rzecz tej prawdy przemawia szeroko rozwijający się w Anglii i Francji ruch przeciwko ostatecznej „polityce z pozycji siły”. Na rzecz tej prawdy przemawia coraz szersze wśród trzęsawiczących kół burżuazji amerykańskiej zrozumienie niebezpieczeństwa broni atomowej, antywojenna postawa mas socjaldemokratycznych i pacyfizm kół chrześcijańskich. Na tej szale rzucają kraje Azji swe pięć zasad pokojowego współzestawienia, które — jak dobry duch — przyświecały konferencji w Bandungu.

Porozumienie — współzestawienie — pokój. Trzeba rozpocząć od szkoły porozumiewania się. Taką wielką i piękną szkołą jest Festiwal Młodzieży.

Młodzież dysponuje szczególną łatwością nawiązywania przyjacielskich więzi, łamania uprzedzeń. Młodzież rozumieją się za-

wsze doskonale. Prawdopodobnie dzieje się tak dlatego, że cechy młodości, wspólne wszystkim chłopcom i dziewczętom, są silniejsze od cech i właściwości które dzielą.

I dlatego właśnie wielka manifestacja festiwalowa, wielkie święto młodości ogniskuje w sobie jak soczewka rozliczne tendencje do wzajemnego porozumienia, skupia je we wspólną tęczaową wiązkę, wzmacnia, poe-guje i nasila. Dlatego szczególnie pięty, warszawski Festiwal młodych, który odbędzie się w czasie, gdy ruch na rzecz porozumienia, współzestawienia i pokoju osiąga na świecie nigdy nie spotykane dotąd rozmiary — jest żywym, barwnym i wspólnym wyrazem dążeń setek milionów ludzi.

Naczelny sens Festiwalu tkwi bowiem w tym, że przyczynia się on do utrwalenia jedności młodego pokolenia. Już przebieg przygotowań festiwalowych w świecie jest jaskrawym świadectwem tej prawdy. W dalekim Chile, w Ogólnonarodowym Komitecie Przygotowawczym do Festiwalu współpracują zgodnie przywódcy oraz członkowie organizacji młodzieżowych: komunistycznej, radykalnej, falangi-stowskiej (tak, tak!) i katolickiej. Podobnie jest w wielu innych krajach we wszystkich częściach świata.

Umiejętność porozumiewania się ludzi o różnych światopoglądach jest połową zwycięstwa. Jeśli sztuki tej nauczymy się jeszcze lepiej, szanując cudze przekonania i żarliwie krzując własne, jeśli jeszcze silniejsze więzy młodej i trwałej przyjaźni zadzierżniemy w dniach warszawskiego Festiwalu — najlepiej przysłużyliśmy się wielkiej idei. Wtedy wspólnie potrafimy wnieść ową budowlę sięgającą niebios: przyszłość ludzi żyjących w pokoju. Wówczas będziemy siłą niezwycięzoną i „nikt nie zabroni wszystkiego, co zamyślił uczynić”. Tę prawdę rozumie coraz więcej młodych ludzi na całym świecie.

Kiedy opuszczaliśmy miasto IV Festiwalu — Bukareszt — pewien młody dziennikarz burżuazyjnego pisma z Nadrenii, Gert, z którym zdążyliśmy się przez dwa tygodnie szczerze zaprzyjaźnić, powiedział na pożegnanie:

— Das wichtigste ist, dass wir uns verständigen können...

Racja, Gert — najważniejsze jest to, że potrafimy się porozumieć. Prawda ta nigdy nie była tak żywa jak dziś.

J. S.

FESTIWAL na mapie świata

Festiwal... słowo, które brzmi jednakowo we wszystkich językach świata, obiegło całą kulę ziemską wywołując ożywiony ruch, ciekawość, radość i... Już od wielu miesięcy młodzieńca całego świata myśli o tym jak będzie na Festiwalu, jak wypadną spotkania, kto jeszcze dziś nieznanym stanie się przyjacielem, z czym przyjedziemy i co pokazemy w Warszawie?

Dziewięć duńskich z Kopenhagi doszły do wniosku, że nie mogą pojechać do Warszawy z pustymi rękami, że trzeba przygotować upominki dla przyjaciół. Rysują więc duńskie motywy, szyją i haftują chusteczki na głowę, chusteczki do nosa, obrusy i serwety. Również ozdoby z drzewa, lalki w strojach narodowych, albumy z fotografiami Kopenhagi itp. Szczególnie upodobały sobie wszystko, co ma coś wspólnego z Andersenem. Wiedzą, że w Warszawie i na całym świecie wszyscy znają jego bajki. Wynalazły więc wycinanki Andersena i korzystają z tych motywów stanowiących źródło miana, jakie sobie nadały „Tommelse” — Calineczki. Zbierają się co środę w Norebro, gdzie przygotowują podarki słuchającym opowiadań o Festiwalu, o Polsce i o młodzieży, którą tam spotkają. Próbuja też nauczyć się choć paru słów po polsku.

Groźba, jaka zawisła nad młodymi Francuzami od czasu zawarcia układów paryskich nie zdołała osłabić ożywionego tempa przygotowań do Festiwalu. Do Warszawy przyjedzie 700 francuskich delegatów, a ponadto 200 członków zespołów artystycznych i 500 sportowców. Przygotowania zyskały jak najgorętsze poparcie ze strony wielu francuskich organizacji. 2-milionowa organizacja „Ligue d'Enseignement” i wielkie, liczące 8 tys. klubów „Zrzeszenie Muzyków Grających na Harmonijce” zgłosiły swój udział w programie artystycznym Festiwalu. Ludowe Zrzeszenie Muzyczne organizuje szereg konkursów i postanowiło przyznać I nagrodę w wysokości 400 tys. franków na koszt wysłania delegatów na Festiwal.

Młodzież francuska przeciwstawiła układowi paryskiemu ożywioną współpracę z młodymi Niemcami walczącymi przeciwko wkręszaniu Wehrmachtu. Z każdym tygodniem rośnie liczba wizytujących się wzajemnie delegacji obydwa krajów.

Na Węgrzech ogromnym zainteresowaniem cieszy się konkurs muzyczny. Studenci Akademii Muzycznej przygotowują na Festiwal niezwykle ciekawy program muzyczny. Na Festiwalu usłyszymy w ich wykonaniu najpiękniejsze utwory Liszta, Bartoka i Kodaly.

Do krajów, gdzie przygotowania do Festiwalu nabrały najwyższego tem-

pa, należy niewątpliwie Austria. Spośród wielu ciekawych form pracy, młodzież najbardziej lubi spotkania z byłymi uczestnikami dotychczasowych Festiwali. Na spotkania te prelegenci przynoszą zdjęcia, wyświetlają nakręcone przez siebie filmy amatorskie. Do popularyzacji idei Festiwalu przyczyniają się wystawy objazdowe obrazujące życie młodzieży różnych krajów.

Młodzi Austriacy przygotowują na Festiwal bogaty program artystyczny. Różnorodne występy będzie łączyła jedna wspólna myśl: jak dziewczęta i chłopcy pracowali w czasie zbierania podpisów pod Apellem Wiedeńskim.

Młodzież wietnamska przystąpiła z entuzjazmem do pra-



Zapata — to nazwisko chłopskiego działacza rewolucyjnego Meksyku w XIX w. Nazwisko to jest dla młodzieży meksykańskiej symbolem w jej walce o postęp.

Na zdjęciu: taniec „Zapata” w wykonaniu Gvillermo Arriaga i Rocio Sagaon.

cy przedfestiwalowej. Ukonstytuował się Wietnamski Komitet Przygotowawczy złożony z 39 członków, przedstawicieli rozmaitych organizacji, młodzieży robotniczej i chłopskiej, studentów i harcerzy, pracowników pracy i innych najlepszych ludzi Wietnamu.

Młody duchowny katolicki z południowego Wietnamu Vo Thank Trink oświadczył: „Pragnę z całego serca, aby młodzież miała lepszą przyszłość, będą nawoływał młodych katolików szczególnie tych z południowego Wietnamu do wzięcia udziału w przygotowaniach do Festiwalu”.

W pamięci każdego przechodnia musiał głęboko utkwić widok czerwonych tulipanów, jakie od roku 1949 kwitają w Warszawie przed Biblioteką Uniwersytecką oraz w parku Kasprzaka. Nad kwiatami widniała jeszcze niedawno tabliczka z napisem: „Dar ludności Holandii i wdzięcznej Polakom, którzy przelewali swą krew w walce o jej wolność”. Być może, że tekst napisu przytaczamy niedokładnie, lecz zmuszeni jesteśmy cytować go z pamięci, gdyż chyba rok temu tabliczka została zdjęta. Dlatego? Holenderskich gości będzie na Festiwalu wielu, gdyż samych tylko delegatów około 1.000.

W tej chwili istnieje już w całej Holandii 56 lokalnych Komitetów Przygotowawczych, które prowadzą ożywioną działalność. Komitet Studentki zorganizował 19 maja narodowy konkurs kulturalny. Laureaci tego konkursu zostaną wysłani na Festiwal.

Niezwykle ciekawie przebiegały przygotowania do spotkań granicznych młodzieży holenderskiej z Anglikami i Niemcami, które odbędą się 11 lipca w Hock van Holland i 14 lipca w Emmerich.

Tradycyjne spotkanie włoskich dziewcząt w Ravennie przebiegało w tym roku pod znakiem Festiwalu. Po licznych występach artystycznych i grach towarzyskich dziewczęta zbierały podpisy pod Apellem Wiedeńskim.

W Bolonii odbył się ostatnio przegląd najlepszych zespołów artystycznych. Pięknie i barwnie wyglądał tysięczny tłum chłopców i dziewcząt w strojach ludowych. Młodzież włoska przygotowuje się do spotkania z Francuzami, jakie odbędzie się 11 i 12 czerwca w Savonie.

Na placach stolicy Wielkiej Brytanii rozpoczęły się występy Zespołu Tańców i Chóru Festiwalu Młodzieży Londyńskiej. Tańcem i śpiewem popularyzuje on ideę Festiwalu a jednocześnie zbiera fundusze na pokrycie kosztów podróży. Zespół ten zdobył I nagrodę w konkursie chórów londyńskich.

W Coventry odbyła się wielka manifestacja przeciwko produkcji bomby wodorowej. Tłumy młodzieży manifestowały pod hasłem: „Bądź współtwórcą historii”.

Na tle ogólnej radości ponurym echem odbiły się w świecie szlaki niektórych rządów kapitalistycznych, z jakimi spotykają się działacze Festiwalu.

Władze paragwajskie aresztowały 4 delegatów, którzy wrócili z Sao Paulo, gdzie odbywał się Festiwal południowo-amerykański. Oburzenie społeczeństwa było jednak tak wielkie, że aresztowani zostali wypuszczeni na wolność. Mimo kolosalnych trudności, w całym Paragwaju odbywają się zebrania organizacji młodzieżowych, występy artystyczne i zbiórki na koszty przejazdu do Warszawy.

Również młodzież w Algierze musi walczyć z ciągłymi represjami władz francuskich. Szukany te nie są jednak w stanie przerwać dalszych przygotowań do Festiwalu, które odbywają się pod znakiem jedności i solidarności całej młodzieży algerskiej bez względu na narodowość, wyznanie i przekonania polityczne. Najaktywniejsze pracuje organizacja Sidi-Bel-Abbes. Jedną z organizacji młodzieżowych nakręca film folklorystyczny o życiu młodzieży algerskiej. Na taśmie magnetofonowej nagrywa się wypowiedzi znanych osobistości życia kulturalnego i sportowego.

H. W.

Wśród marynarzy

z „Gottwalda”

Samotność — sprawa najtrudniejsza

„Najgorszą rzeczą była samotność” — mówi oficer kulturalno-osiwiatowy Nawrot.

„Najcieżej było samemu. Człowiek samotny łatwiej się zaznaje” — opowiadał oficer Ausztukais.

„Nie nie wiedzieliśmy o innych towarzyszach — mówił starszy marynarz Czajka — to było najbardziej przykre”. A więc nie gód, nie groźby, nie brak możliwości, który uniósłby konarom nieustannie przesłanie więźniów — ale brak wiadomości o innych towarzyszach, o losie całej załogi... To dało się najbardziej we znaki załozce statku „Gottwald” uwięzionej na Tajwanie. Do tego tematu nawiązywali stale, kiedy rozmawialiśmy z nimi po ich powrocie do kraju. Wiedzieli o tym czangkaizekowcy i dlatego rozbił zaogę na szereg małych grup, a „elementy najbardziej niebezpieczne” odizolowali zupełnie.

Odosobnionych, samotnych ludzi kusili pieniężni i kobietami, wodką i mrazem „świętego” życia w Stanach Zjednoczonych. Próbowali złamać ich twierdzenie, że rząd czangkaizekowców wydał dekret, który raz na zawsze odcina im drogę do kraju. Wmawiali — wbrew faktom — że rząd polski nie dba o „gottwaldowców” i nie czyni żadnych starań, by ich uwolnić.

Starszemu mechanikowi Nowakowi powiedzieli „W tajemnicy”, że otrzymali poufną wiadomość, iż ten „złoty” i ożek poniosły śmierć w katastrofie samochodowej w Gdyni.

Każde odosobnionej grupie marynarzy wmawiali, że to tylko oni trzymają się jeszcze, podczas gdy reszta skapiułowala.

Jakże ważne było wtedy każde słowo od towarzyszy, każdy znak, że trwają, walczą i nie poddają się!

W jednej z takich izolowanych grup znajdowali się: wspomniany już Ausztukais i Czajka, a ponadto ochmistrz Grzeszkowiak, drugi oficer Drączkowski i towarzysza Wardyn. Postanowili oni za wszelką cenę skomunikować się z pozostałymi towarzyszami.

W magazynie, w którym przetrzymywano ich, znajdował się cukier, wysypywany codziennie przez jednego z żołnierzy do miseczek i roznoszony do poszczególnych grup Polaków. Wykorzystali to. Drączkowski sporządził kartki, podając na nich termin następnej głodówki protestacyjnej. Wardyn i Czajka odwrócili przemysłnie uwagę żołnierza, a Grzeszkowiak włożył kartki w cukier. Wiadomość dotarła jednocześnie do wszystkich więźniów.

A oto inny wypadek. Motorzysta Zolakis (grecki komunist z załogi „Gottwalda”) oświadczył pilnującemu go czangkaizekowcom, że napisał po polsku prośbę do władz o lepsze traktowanie. Czangkaizekowcy zanieśli kartkę do Drączkowskiego, by ten przetłumaczył jej tekst na angielski. W rzeczywistości kartka obok wiadomości, że Zolakis trzyma się dzielnie, zawierała zdanie: „Moja nie pocałowa w...”

Nie trzeba tłumaczyć jakie znaczenie miały dla więźniów przemycane w ten sposób wiadomości.

Być razem z towarzyszami, razem z nimi cierpieć i walczyć, wzajemnie dodawać sobie otuchy i wspierać w ciężkich chwilach — oto warunek, który pozwala przetrwać najcięższe nawet chwile. Kolektyw oparty na miłości do ojczyzny i wierze w wielką ideę — to siła nie do złamania.

Nie dziwnego, że stałym żądaniem załogi „Gottwalda”, odrzucanym systematycznie przez czangkaizekowskich piratów było: musimy być wszyscy razem.

Nie dziwnego, że Zdzisław Czajka, ciekawie bronił się, gdy politejanci usiłowali porwać go z grupy jako jednego z inicjatorów pierwszego głodówki i kilkakrotnie wyrwał się policjantom i dopiero uległ, gdy obezwładnili go i wykreśli mu ręce. Ale i wtedy nie zrezygnował. Zamknęty w małym pokoiku uciekł z niego i włamał się do celi zajmowanej przez Ausztukaisa, skąd polajanci mimo przewagi liczebnej nie zdołali go usunąć.

Kolektyw to siła potężna. Pozwala ona wspierać stabszych, wspólnie odparć ciosy, mocnym pomnaża siły. Ta prawda przebiega poprzez wspomnienia i opowieści bohaterów załogi „Gottwalda”. Do niej stale powracają.

Warto o niej zawsze pamiętać.

K. DZIEWIAŃSKI

HIPNOZA

po mózgu, a przede wszystkim po korze mózgowej. Nauka Pawłowa ujęła więc w sposób naukowy zjawisko snu, określając je terminem fizjologicznym i nie pozostawia niczego tajemniczego i mistycznego w zrozumieniu mechanizmu snu.

Co więcej, nauka ta zdalała również dać naukowe wyjaśnienie mechanizmu powstawania marzeń sennych i stanu hipnotycznego. Na podstawie licznych doświadczeń, przeprowadzonych na zwierzętach, Pawłow wykazał, że istotę hipnozy stanowi również hamowanie. W ten sposób zdobyto doświadczalny dowód słuszności tego, że mechanizm snu i hipnozy są analogiczne. W odróżnieniu jednak od hamowania występującego podczas snu zwykłego, hamowanie występujące podczas snu hipnotycznego nie ogarnia całej kory i głębiej leżących części mózgu, a obejmuje tylko pojedyncze, izolowane części kory. Jeden ze współpracowników Pawłowa — Woskresienski — wykazał, że hamowanie może obejmować tę część kory, która zawiaduje ruchami i że na skutek tego pies nie może wykonywać ruchów. Pogłębienie się hamowania i jego rozprzestrzenienie na całą korę powodują przejście ze snu hipnotycznego w sen fizjologiczny.

ZWIERZĘ A CZŁOWIEK W HIPNOZIE

Przykładem hipnozy zwierzęcej może być tzw. „experimentum mirabile” Kirohera. Doświadczenie to polega na wprowadzeniu zwierzęcia w stan hipnotyczny przez nagłe i energiczne nadanie mu postawy leżącej na grzbiecie. Pod wpływem

wem bardzo silnego bodźca, jakim jest nagłe przewrócenie zwierzęcia na grzbiet — występuje częściowe zahamowanie kory, obejmujące ośrodki ruchowe. Zwierzę pozostaje nieruchome całymi godzinami w tej pozycji ułożenia grzbietowo, jaką mu nagle nadano. Równocześnie widać, że wodzi ono oczami za eksperymentatorem, wydzielając ślinę na widok pokarmu.

Zjawiska stanu hipnotycznego u zwierząt i ludzi mają taką samą podstawę fizjologiczną, tzn. polegają one na wystąpieniu częściowego zahamowania kory. Jednak stan hipnotyczny człowieka różni się znacznie od tego stanu u zwierząt. Jest tak dlatego, ponieważ związek ustroju zwierzęcego ze środowiskiem opiera się o taki układ odruchów warunkowych, w którym działają wyłącznie konkretne, bezpośrednie bodźce rzeczywistości. Tego rodzaju bodźce są dla zwierząt sygnałami rzeczywistości. Oparty o nie układ korowy, nerwowy i związki czasowe, umożliwiający zachowanie związku ze środowiskiem nazwał Pawłow pierwszym układem sygnałowym. Natomiast człowiek jest jednostką przede wszystkim społeczną i kształtowanie się jednostki ludzkiej, tworzenie się myślenia i mowy powstawało w historii ludzkości w procesie pracy. Mowa ludzka, słowa są niejako sygnałami tych bezpośrednich sygnałów rzeczywistości, zastępują one dany przedmiot poznania i stanowią swoiste ludzki układ sygnałowy rzeczywistości. Układ ten nazwał Pawłow drugim układem sygnałowym.

Jest więc zrozumiałe, że zawsze przy przenoszeniu na ludzi wniosków zdobytych w doświadczeniu na zwierzętach, pamiętać należy o swoistych właściwościach człowieka jako jednostki społecznej. Podobnie należy o tych właściwościach pamiętać omawiając zjawisko snu hipnotycznego. U człowieka w czasie snu hipnotycznego zazwyczaj utrzymamy zostaje słowny związek z hipnotyzerm, dzięki temu, że do mózgu zahipnotyzowanego mogą docierać słowa hipnotyzera, tzn. bodźce z drugiego układu sygnałowego. Zachowanie częściowego związku ze środowiskiem w czasie snu hipnotycznego przejawia się u człowieka w częściowym zachowaniu swoiste ludz-

kiego związku z osobą hipnotyzera, to znaczy związku opartego o pracę drugiego układu sygnałowego.

SILA SŁOWA HIPNOTYZERA

Rozmaite czynniki mogą wywołać stan hipnotyczny u człowieka. Może to być wspomniane już uprzednio wpatrywanie się w jeden punkt i wywoływanie tym sposobem rozprzestrzeniania się po korze pewnego szczególnego rodzaju hamowania zwanego hamowaniem pozakresowym. Mogą to być również wspomniane już tzw. pasy hipnotyczne, o których dzisiaj już wiemy dzięki badaniom Pawłowa, że nie polegają one na przekazywaniu jakiegos mistycznego fluidu, jak to utrzymywał Mesmer, ale że są one po prostu jednostajnymi rytmicznymi bodźcami dotykowymi, wywołującymi wystąpienie hamowania w korze mózgowej. Stało się rów-



Nagle przekręcenie głowy w dół powoduje hipnozę.

nież zrozumiałe dlaczego u człowieka można wywołać sen hipnotyczny — słowem. W specjalnych warunkach ciszy, spokoju, odprężenia mięśni — a więc w warunkach, które obniżają napięcie kory na skutek zmniejszenia się dopływu bodźców — słowo hipnotyzera powoduje koncentrację procesu pobudzenia w określonych strukturach kory mózgowej. Dookoła tych pobudzonych struktur, na zasadzie obiektywnych praw rządzących procesami nerwowymi (w tym wypadku wchodzi w grę działanie prawa indukcji ujemnej) powstaje głębokie hamowanie, obejmujące pozostałe części kory mózgowej.

Zrozumienie tych mechanizmów fizjologicznych tłumaczy nam również dlaczego słowa hipnotyzera mają taką niezwykłą moc sugestijną. Na skutek hamowania obejmującego wszystkie pozostałe obszary kory mózgowej — słowo hipnotyzera staje się bodźcem niejako „bez konkurencji” nie podlegającym kontroli czynności normalnie pracującej kory mózgowej, a więc bodźcem, któremu hipnotyzowany stale się całkowicie posłuszny.

Ponadto dla stanów hipnotycznych, spowodowanych hamowaniem kory charakterystyczne jest to, że bodźce słowne, które normalnie są słabsze od bodźców konkretnej rzeczywistości, działają w tych warunkach silniej od nich. Dlatego też istnieje możliwość sugerowania w stanie hipnotycznym pewnych faktów sprzecznych z rzeczywistością. Można na przykład zahipnotyzowanemu zasugerować, że jest on pomarańczem, podczas kiedy w rzeczywistości jest on cebulą. W warunkach snu hipnotycznego bodźce smakowe zjadanej cebuli stają się słabsze od słów hipnotyzera.

Szczególnie interesujący jest ten fakt, że na skutek ogromnej przewagi siły



Postawa kateleptyczna w głębokiej hipnozie. Ilustracja z książki niemieckiej pt. „Hypnose” 1925 r.

działania słów hipnotyzera nad wszystkimi innymi bodźcami — hipnotyzerm może wpływać na różne czynności ustroju hipnotyzowanego. Może więc na przykład wywołać przyspieszenie akcji serca, zmianę rytmu oddechów, a nawet zmianę prędkości podstawowej. Co więcej — może wpływać nie tylko na zachowanie się hipnotyzowanego w czasie trwania hipnozy, ale i po jej przerwaniu: ślady działania bodźca słownego hipnotyzera mogą utrzymywać się jeszcze przez pewien czas w mózgu hipnotyzowanego i przeważać nad działaniem innych bodźców.

Oczywiście nie wszystkich, nie zawsze i nie wszędzie można za hipnotyzować. Zależy to od właściwości typu układu nerwowego danej osoby, od tego, czy w konkretnym wypadku istnieje większa lub mniejsza możliwość wywołania się i rozprzestrzenienia procesu hamowania w jego mózgu, od stopnia aktualnego pobudzenia układu nerwowego i od tych wszystkich warunków, o których uprzednio mówiliśmy.

Wyjaśnienie mechanizmu hipnozy przez Pawłowa dało możność wyliczenia wielu ważnych wniosków i dla medycyny. Hipnoza może w niektórych wypadkach działać leczniczo, już tylko nawet dzie-

ki temu, że wywołuje stan hamowania. Stan ten, jak wykazały prace Pawłowa nad snem, ma bardzo korzystny wpływ na komórki nerwowe mózgu, zagrożone działaniem szkodliwych czynników. Oprócz tego hipnoza może działać leczniczo na skutek działania sugestii słownej w czasie hipnozy. Leczenie sugestią w hipnozie oddaje niekiedy cenne usługi w leczeniu pewnych stanów nerwowych. Słowo hipnotyzera — lekarza działa tu jako bodziec regulujący zaburzenia dynamiki procesów nerwowych.

Tak więc zjawisko hipnozy odkryte kiedyś mrokiem tajemnicy i zabobonem stało się dzięki rozwojowi fizjologii wyższych czynności nerwowych przedmiotem badań naukowych i naukowych wyjaśnień. Zjawiska dawniej niezrozumiałe, które na skutek idealistycznych koncepcji były źródłem przesądów i ciemnoty — stają się dzięki materialistycznej nauce Pawłowa zrozumiałe i mogą być racjonalnie wykorzystane dla dobra człowieka.

Prof. dr med. ANDRZEJ JUS

czyli dysputa niby – filozoficzna o igraszkach
z dialogiem teoretycznym, prorocstwami i morałem

P O P R O S T U 3

Powinien to być — i będzie —
uśmiech jak nigdy: uśmiech najpeł-
niejszy i najgłębszy, rozumny i bez-
troski — stworzony cały z miłości
do życia i ludzi.

M I A R A W A R T O S C I

JERZY KOSSAK

Przeglądałam się z niepokojem rosnącemu przynębieniu Stacha. Myślę, że znam przyczyny tego przynębienia. Przynałmiej niektóre przyczyny. Rzeczywiście sporo się na niego ostatnio zważyło. Jest zbyt sumien-ny, żeby pisać swoją pracę bez pełnej, jak najpełniejszej znajomości materiału, a nie umie sobie dobrze zaplanować roboty. Dlatego zbyt długo śleczy po archiwach, nagromadził masę notatek, a nie może się jakoś zabrać do pisania. Poza tym pewnie właśnie od tego śleczenia, braku ruchu i chyba także z tego, że nie zawsze pamięta o jedzeniu — trapią go jakieś uporczywe bóle głowy i nie może już tak pracować jak dawniej. To szczególnie go złości, bo to mocny, zdrowy chłopak i nie zdążył się jeszcze przyzwyczaić do chorowania. Tymczasem zaplanowane terminy upadają jeden po drugim i Stach staje bezradny wobec surowej krytyki kolekcysty.

Myślę, że mocno go uderzyła ta historia z Heleną. Nigdy nie miał specjalnego powodzenia. Zbyt jest szorstki, zamknięty w sobie. Zbyt niepewnie i niesmiało czuje się jeszcze w nowym dla siebie środowisku, ażeby łatwo było zbliżyć się do osób, które wydają mu się sympatyczne. Jego napady wesołości — wyraz rzeczywistej wewnętrznej pogody tego chłopca, który tak lubi się śmiać kiedy jest tylko z nami — raczej odstraszały swoim kontrastem ze zwykłym jego zachowaniem i — powiedzmy to sobie szczerze — częstym grubiaństwem. A poza tym jest naprawdę bardzo brzydki, więc do niepowodzeń zdążył się już przyzwyczaić.

Tylko że z Heleną było inaczej. Wydaje się, że bardzo go lubiła i lubi. Ale nie można nikogo zmusić do uczuć głębszych. I teraz, kiedy Helena odeszła po tej dziwacznej rozmowie, po tym spotkaniu, gdzie Stach w desperacji zachował się, można powiedzieć, po chamsku — wszystko jakoś poszarżało i zbrzydło. I Stach bardziej jeszcze przy-chnął, stał się jeszcze bardziej zamknięty i nieśmiały.

Ostatnio szczególnie dreczy go to, że nie może pojechać do domu. Z dyscypliną studiów jakoś by się załatwiło, gdyby wyjaśnił po co. Ale brak pieniędzy na bilet (aż jędrzejowski powiatał w Kieleckiem) — więc w obie strony wypada nie mało, a tymczasem jest koniec miesiąca i trzeba się kłębć dobrze, żeby w ostatnich dniach starczyło na obiad. Więc pojechać nie ma jak, a matka pisze, że ich spółdzielnia produkcyjna, właściwie ten załazek spółdzielni — siedem gospodarstw, które na jesieni pocięły się według statutowego wzoru typu I B — teraz na wiosnę zaczyna się roz-walać. To znaczy, że rozbijają się wyniki także jego własnej kilkuletniej pracy, z której był taki dumny na jesieni. Co gorzej, matka pisze, że w tym wszystkim ojciec — łagodnie mówiąc — nie jest bez winy i że znowu go ciągnie do stryja Józka. Koniecznie trzeba by jechać, a nie ma jak.

Więc s'ę nie dziwi, że Stach cho-dzi jak struty.

SPRAWY MAŁE I WIELKIE

Spytałem Staska co to jest szczęście. Zaczął filozofować. Bo Staszek lubi filozofować. Szczególnie mu się podoba ta jeszcze heglowska gra pojęciowych przeciwności, której nauczył się z wczesnych prac Marksa i którą uprawia zawsze z wielkim zapalem. Więc mi przypomniał zaraz Spinozę, że trzeba za-ściąpić dążenie do szczęścia szczęściem dążenia i poznanie szczęścia szczęściem poznania. A potem mōwił jeszcze długo i zawiłe o dialektyce ruchu i trwania, zacytował Fausta, o tej szczęśliwej chwili, którą chciałoby się zatrzymać. No i zaczęło się o obiektywnym i subiektywnym, o stałe nowych potrzebach i konieczności ich zaspokajania — wszystkie te pojęcia zasadnicze i istotne, które tak łatwo zamienić w przemiłą co prawda, ale jałową słowną ekwilibrystykę.

Czy Stach jest szczęśliwy? Sądzę, że gdybym poszedł teraz do niego — bo Staszek to nie fikcja, a żywy człowiek — i zapytał: czy jesteś w tej chwili szczęśliwy? — nie wiedziałby co mi odpowiedzieć. Mogłbym jeszcze zapytać: czy zawsze jesteś szczęśliwy? — gdybym się nie wstydził absurdalności takiego pytania. Nie zadam takiego pytania. Bo wiem ile mamy małych i większych smutków i trosk, sprowadzających gorzkie, niezadowolone, wewnętrzny żal. Wiem, ile przeżywa-my spraw ciężkich, które kładą się na nas czasem cieniem wielkiego, osobistego bólu. Wiem, że jest nam teraz ciężko, że przeżywa wiele godzin naprawdę smutnych.

Ale wiem także, że nigdy nie zamieniliby trudnego czasu w jakim żyjemy na żaden inny, że nie zamieniliby swojego miesiąca w tym świecie. Wiem, jak silnie związany jest z problemami, których częstą starą się rozwijać w swojej pracy o ruchu ludowym. Wiem, że jest związany z nimi tak, że dawno już zalał się u niego podział na czas poświęcony pracy i czas dla spraw tzw. osobistych. Wiem jak dumny

jest ze swojej wsi, chociaż walka o nową drogę dla niej jest taka trudna.

Przysgaszony własnymi niepowodzeniami — nie traci ognia w dyskusji i wystarczy, żebyście powiedzieli zdanie, które uważa za błędne, zdanie dotyczące jakiegokolwiek dziedziny naszego życia — ażeby ożywił się i rozpoczął z wami ostrą, żywiołową polemikę.

Jestem pewien, że nie przespał wiele nocy i z powodu własnych tylko utrapień i z powodu tych trudnych spraw, które przeżywała cała partia. Ale też jestem pewien, że nigdy nie wątpił w sens swego życia, ponieważ od dawna stopił go w jedność z sensem naszych idei i naszej walki. Ponieważ szczyt się uczestnictwem w tej walce i odczuwa głęboko jej słuszność i piękno.

Czy komunista może być nieszczęśliwy? Po co rozstrzygać tę kwestię na płaszczyźnie abstrakcyjnej kategorii. Patrzcie — oto dobry partyj-nyak, poeta — ale wielkie beztałencie. Całe życie pisze wiersze, wkłada w nie całą swoją życiową pasję, wszystkie najlepsze uczucia i wiarę w ludzi, w słuszność naszej sprawy. A tworzy wychodzą płaskie, marnutki. Odrzucając je, czasem drukują bez oddźwięku. I na całym życiu pozostaje jakaś skaza — niedosyt, poczucie własnej nieprzydatności, wielki żawód życiowy.

A oto człowiek, którego duchowe zalety i temperament stworzyły dla uczuć lirycznych i wielkiej miłości. A powierzchowność ma taką, że musi budzić odrazę — i ciągnie za sobą przez całe życie ciężar osamotnienia, jakiejś niższości wobec wszystkich innych ludzi.

Ktoś w przeszłości był po drugiej stronie barykady. Od tego czasu dzieli go wiele lat trudnej drogi przemian, która zaprowadziła go do partii. Wielu mu nie ufa, ale nawet tym, którzy mu wierzą — przypisuje nieufność względem siebie. Własny wstyd za przeszłość przenosił na otoczenie i niesie za sobą ten balast dawnych win. Stroni od ludzi, unika towarzyszy, chociaż czuje do nich żywą sympatię, bo łączy go z nimi wspólna walka, wspólna praca, wspólna idea.

A jednak przy wszystkich tych wewnętrznych rozterkach żaden z nich nie przeżywa załamania, nie pograża się w uczuciowy życiowy bankructwa, nie traci wiary w sens życia. Nie traci go, ponieważ rozszerzyła się dla nich granica spraw osobistych. Ponieważ od „horyzontu jednego człowieka przeszli do horyzontu wszystkich ludzi”. Dlatego potrafili odczuć piękno życia i walki wówczas nawet, gdy sami przygnęci są osobistymi niepowodzeniami. Dlatego potrafili cieszyć się naszymi wspólnymi zwycięstwami. Dlatego nie czują się samotni.

Gdzie tkwi ta siła, która przy najcięższych własnych doświadczeniach nie pozwala zatracić hierarchii realnych wartości, zachowuje godność ludzką i optymistyczną postawę życiową? Znowu trudno tu dać odpowiedź w formie teoretycznych rozważań. Sięgnijmy więc po samo życie.

DWA SPOJRZENIA

Był kiedyś w powiatowym mieście Makowie? Ot, naprawdę dziura. Nawet normalnej kolei nie ma. Tylko wąskotorówka z Ciechanowa. Ale ja jechałem autobusem przez Pułusk. W sprawach organizacyjnych.

Rozmawiałem wtedy prawie przez cały czas jazdy z młodą dziewczyną. — Właśnie z tego Makowa. Pracuję w PRN. Zdała maturę, ale nie mogła pójść do studia. Dusci się w tym drobnomiejsczkowym środowisku, gdzie wszyscy się znają, gdzie trywialne plotki stanowią jedyną rozrywkę, gdzie nie ma ludzi, z którymi można by pogadać... Bez kina, bez teatru, bez książek... Samotność... Beznadziejność.

Siedziałem w Makowie dwa dni, a jeden cały wieczór i pół nocy przegadałem z pracownikiem tejże PRN, którego poznałem w KP. Z człowiekiem już niemłodym i starym członkiem partii. Właściwie raczej tylko słuchałem. Mówił prawie cały czas on. Mówił gorąco i z zapalem o ludziach i sprawach makowieckiego powiatu. O osiągnięciach, o drobnych i wielkich swinstwach, o różnych naszych błędach i niesprawiedliwościach nie zawsze naprawionych. O pomyłkach nowych, które trzeba stale rodmuchiwać, aby nie zgasy. O trudności pracy w tym powiecie, gdzie najdłuższ z całego warszawskiego grawoły bandy. Słuchałem o nowych projektach, o tym, co trzeba będzie postawić na Plenum KP.

Czy nie istnieje dla niego małomiasteczkowa nuda i parafianisko filisterstwo? Istnieją, ale jako przedmiot walki. Maków jest taki jest — i trzeba go zmienić. A zresztą nieprawda, że jest taki sam. Już się zmienił. I znowu słucham drobnych historii o prostych ludziach ubogiego powiatu. Historii składających się na obraz wielkich ideowych przemian. I coraz lepiej poznaję mego rozmówcę, coraz mi jest bliżej. Poznaję komunista — człowieka, który pierwszy jest martwi, a cieszy się ostatni.

NA MIARĘ LUDZKIEJ SŁABOŚCI

Jacy nieszczęśliwi, jacy ubodzy są ludzie zamknięci w ciasnym świat-

ku swoich tylko, własnych, samotnych radości, trosk i pragnień. I ci, którzy jak symboliczny Tadeusz K. z artykułu Urbana uznają tylko „ważność własnego ja” i „pogłębianie samego siebie”. I ci, którzy przechodzą przez życie jako konsumenci własnych chwilowych zachcianek. Nawet wtedy, gdy ideał życiowy wychodzi poza obręb własnego ja, ale zamyka się w granicach zapewnienia szczęścia swoim najbliższym — jest on wąty, kruchy, łamliwy. Stworzyli go ludzie, którzy jak w tuwimowskiemu wierszu „Idą i widzą wszystko osobno”, ludzie, którzy w leku przed trudem społecznego życia zamknęli się w swoich mieszkankach i ciulają okrucy swoich drobnych domowych radości w ciasnej skarbonce „klein aber mein”.

Na wielu ludziach ciąży jeszcze dzisiaj to tragiczne brzemie moralnych spustoszeń, jakie siała wśród ludzi kapitalistyczna rzeczywistość:



postawa samotnictwa, egotyzm, idea niezależności życia osobistego od spraw społecznych. Spośród różnych obrazów ludzi, charakterów, jakie nasuwają się przy tej myśli — ludzi samotnych, znużonych, zgubionych przez los i po prostu zwykłych filistrów — wybieram jeden typ. Właśnie urbanowskiego Tadeusza K. — reprezentanta tych młodych, inteligentnych. ludzi odrodzonych od społeczeństwa i walki o postępy grymasem snobizmu, cynicznym zmrużeniem oka — starszego brata „Lipmanów” Brandysa. Kiedy myślę o nich, o tych podobnych do siebie jak krople wody „oryginalnych indywidualistach”, o ludziach, którzy spędzają życie, bo nie potrafili go przeżyć — mam przykre wrażenie oglądania zlej komedii. Komedii powtarzającej bolesną tragedię rozkładu moralności i idei pewnego odłamu mieszczańskiej inteligencji. Komicznego, forsownego powtórzenia tej wielkiej tragedii ludzi, którzy nie widząc realnej siły, po stronie której należałoby się opowiedzieć w walce ze złą rzeczywistością burżuazyjnego ustroju, nie widząc siły i piękna mas ludowych i ich walki, szli na bezdroża samotnictwa i zwątpienia. Przyjrzyjmy się tej pierwotnej, tragicznej drodze. Kiedyś oderwani od narodu ludzie zamykali się w świecie własnych przeżyć i doznań. Świat dobro- wolnie na wewnętrzną emigrację. Świadomość życiowego zagubienia się i społecznej izolacji zaczynała się u nich łączyć z pogardą dla „tłumu”, niewiarą w istnienie obiektywnego sensu świata, niewiarą w ludzi i siłę ludzkiego rozumu. Tak tworzyła się postawa mizantropii, pesymizmu, smutku, tęsknoty do śmierci.

Kiedy czyści moralnie, ale zagubieni w kapitalistycznej ciemności ludzie nie znajdowali sensu w otaczającym ich świecie, nie znajdowali w nim ani perspektyw dla swoich pragnień, ani realizacji swych pojęć etycznych — często całą swoją wiarę w ludzką godność i piękno przenosili na ukochaną osobę. Wielką miłość do jednego człowieka była niekiedy ostatnią ucieczką od podłości, zła i beznadziejności społecznego życia. Ale kiedy i to zawodziło — na dnie osobistego nieszczęścia pozostawał bezsens życia w ogóle. Rezultatem ostatniego starcia było odkrycie pustki moralnej. Odpowiedzią na pytanie o sens istnienia okazywało się uświadomienie sobie jego bezsensu. Nowa prawda okazywała się prawdą życiowego bankructwa. Przyjrzyjcie się tym prawdom: „Czuł się zgazony, stęplawy, wypaproszony z wszelkiej życiowej energii. Była to obmierzła pustka. Właściwie była to śmierć. Przecież życie człowieka kończy się nie ze śmiercią, ale z chwilą zniknięcia racji, dla której istnieje się i dzia-

ła. Zastanowiło go, że nigdy nie myślał o tej racji, a kiedy raz pomyślał, okazało się, że jej nie ma” — to Gilbert z opowiadania Andrzejskiego „Koniec” (Drogi nieuniknione).

„Czy w pewnej nieprzeczuwanej chwili nie musi człowiek stanąć wobec nienawistnego mroku, aby zrozumieć, że wszystko co dotychczas robił było oszukiwaniem się, jedynie wielkim kłamstwem, bo prawda spoczywa w człowieku tam, gdzie w ciszy i w ciemności rozgrywa się ostateczna walka nienazwanych żywiołów...” — to Mojż z „Kłamstwa” Andrzejskiego.

NIEBO MISTYKI CZY PIEKŁO BIOLOGII

Z otchłani bezsensu życia wyłaniała się zatem ciemność tajemniczych instynktów, otwierała się droga biologicznej mitologii. Ale nie była to droga jedyna. Można bowiem utracić wiarę w sens życia społecznego, ale zachować prze-

subiektywistycznych, anarchizujących tendencji filozofii. Rzeczywiście, dla tych, którzy personalizm znają z wywodów księży Sawickiego, Wyszyńskiego i Piwowarczyka zdanie: „Personalista w obronie nieskrępowanej wolności ludzkiej jednostki” — brzmi jak paradoks. U tych bowiem autorów niezależnością osoby jest wprawdzie niezależnością od społeczeństwa, lecz za to zależnością od kościoła i kościelnej hierarchii. Jeśli bowiem Bóg jest celem ludzkiego istnienia — dowodzą oni — i jeśli obowiązek moralny łączy człowieka z Bogiem, to łączność ta nie sprowadza się bynajmniej do wewnętrznych przeżyć. Kościół odgradza się od stanowiska modernistów. Kontakt z Bogiem odbywa się za pośrednictwem kultu, za pośrednictwem kościoła. Nauka o roli kościoła, bez którego pomocy człowiek nie może dojść do Boga, przekształca niezależność w zależność od najbardziej obskurantkich sił — od ciemnogrodu.

Ale to już są ostatnie konsekwencje personalistycznej teorii osobowości, łączące się z wyprowadzeniem reakcyjnych wniosków społecznych z metafizycznych założeń teorii. Natomiast wielu inteligentów, którzy szli do katolicyzmu jako do moralnej doktryny mającej służyć obronie człowieka, najczęściej odrzucało metafizyczne i społeczno-polityczne perspektywy teorii. Brali oni oderwane od całości systemu idee moralne. Znajdowali w nich uzasadnienie własnej samotności i usankcjonowanie bierności w świecie atakowanym przez ciemne siły reakcji i faszyzmu.

„Osoba jest absolutna z punktu widzenia wszelkiej innej rzeczywistości materialnej czy socjalnej i wszelkiej innej osoby ludzkiej, nie może być w żadnym wypadku rozpatrywana jako część całości: rodziny, klasy, państwa, narodu, ludzkości” — pisze Emanuel Mounier, duchowy przywódca lewego skrzydła grupy L'Esprit.

Samotny człowiek rzucony w świat ugina się pod ciężarem środowiska. Ludzie żyjący w obrębie społeczeństwa w isocie oddaleni są od siebie bardziej niż dwie konstelacje. Człowiek jest jednostką i osobą. Jako jednostka jest materialną częścią społeczeństwa, jako osoba jest samostym bytem duchowym — uczy Maritain. Osoba jest niezależna od społeczeństwa.

Po pierwsze: ma swoje własne, niezależne od społeczeństwa cele — eschatologiczne (połączenie się z Bogiem po śmierci) i doczesne (doskonalenie swojej moralności i życia duchowego).

Po drugie: dzięki wolnej woli osoba ludzka jest niezależna w swoim działaniu od przyrody i społeczeństwa. Jej działalność ma swoje wewnętrzne źródła w duchowej istocie człowieka. „Człowiek jest panem swoich czynów” — powiada Gilson, „bepośrednią i ostateczną przyczyną każdego ze swoich aktów... Autonomicznym centrum aktywności i źródłem swoich własnych determinacji”.

Po trzecie: jest niezależna moralnie — nie jest zobowiązana wobec społeczeństwa w sensie etycznym. Tylko wobec Boga, celu swego istnienia — osoba jest moralnie zobowiązana w wyborze dróg postępowania. Społeczeństwo jako pozbawione „moralnego autorytetu” nie może być źródłem moralnego obowiązku.

Tym, którzy ześlizgiwali się na pozycje dekadentyzmu, idee te dawały podporę teoretyczną i moralną. Tym, którzy cołali się przed faszyzmem, uchylając się od walki, idee te dawały spokój wewnętrzny. Przeniesienie sensu ludzkiego życia w sferę eschatologii uzasadniało odejście od aktualnej problematyki życia społecznego, od politycznych klasowych konfliktów. Ukazanie celu życia doczesnego w wewnętrzny samodoskonaleniu się sankcjonowało oderwanie losów człowieka od losu jego klasy i narodu. Personalistyczny atak na zasadę determinizmu w sferze czynów ludzkich, teza o niezależności działania od przyczynowo-skutkowych powiązań mogły stanowić dobrą podstawę teoretyczną dla oderwania myśli od działania, i przeniesienia ludzkiego dramatu w dziedzinę intencji. Podbudowywało samoistność motywu. Czynów nie można przecież przewidywać. Postępowanie człowieka niezależne jest od warunków materialnych. Nauka o moralnej niezależności wobec społeczeństwa zwalała od rozpatrywania czynów w świetle społecznego obowiązku i społecznej odpowiedzialności. W konsekwencji problemy moralne wyprane ze swej społecznej treści, przeniesione w sferę wiecznej, metafizycznej tragedii słabej, niedoskonałej istoty skażonej grzechem i ciśnień w zły świat zastąpiły rzeczywistą, historyczny dramat społeczeństwa. Mounierowska zasada niekomunikatywności osób między sobą, idea nieuniknionej samotności i duchowego oddalenia — tłumaczyła inteligentnym rozbitkom ich własny stan duchowy jako normalny stan ludzkiej, tragicznej egzystencji. Jednocześnie stwarzała pozory walki o duchową niezależność, o suwerenność wewnętrzną. Zagubiona jednostka znajdowała więc ideologię na miarę własnej słabości i niepokoju.

DROGA PRZEMIAN

Tragiczna próba sił, jaką była ostatnia wojna, ukazała całą nicość tej postawy. Milczenie, ciemność, strach, samotność — to tylko zostało zagubionej jednostce w czasach okrucieństwa i pogardy. Nie znając braterstwa walki nie czuła ona nawet solidarności cierpienia. Zerwanie społecznej więzi i pozostawienie człowieka samotnego w obliczu hitlerowskiej nocy — rzuciło go na pastwę ślepej trwogi i niemej rozpacz. Człowiek upokorzony, osaczony przez los nie dzielił już z nikim, zapatrzyony tylko we własny ból i tragedię poniżenia.

Pozostawało mu szukanie metafizycznej przyczyny „wiecznego zła”. Mistyczne usprawiedliwianie zła. Mistyczny związek ze zbrodniami wspólną nicią powszechnego ludzkiego losu, który kryje w sobie tajemnicę zła — cenę zapłaty za grzech pierworodny.

Takie są bowiem konsekwencje określonej koncepcji życia. Jako karę za grzechy, jako moralne odkupienie traktowali okupację czołowi publicyści „Tygodnika Powszechnego”. Więzienia i obozy nie były szkołą walki i nienawiści — ale „cennym środkiem, którym zdobywała się skarb bezcenny — wiarę” dowodził w roku 1945 ks. Piwowarczyk. Nie poddawajcie się więc — głosili oni — „zewewnętrznym” okropnościom wojny. Wniknijcie w świat kontemplacji i wynurzeń duchowych. Nie sądzcie ludzi według uczynków. Wniknijcie w sens ludzkiego istnienia, który uczynki ukazuje w świetle wiecznych norm i dowiedzie, że są one tylko małą częścią życia. Że jego treść istotna jest w wewnętrznych zmaganiach się z pokusą grzechu. Ukazanie światła wiecznych duchowych instynktów człowieka w czasach „zewewnętrznej grozy”. Afirmuje cierpienie.

Wojenne doświadczenia, realna walka z realnym faktem społecznym — z faszyzmem odsunęła od tych koncepcji wszystkich co najlepsze w naszej starej inteligencji. Faszyzm zwyciężyła nowa siła społeczna i historia, o której ludzie ci nie chcieli przedtem wiedzieć, dała o sobie znać w sposób, który zburzył gmachy inteligentnych iluzji. Wraz z tym nadszedł kres pogardzie dla myśli. Nadszedł kres czasem kiedy ucieczka od świata rzeczywistego w świat fantazji — uchodziła za śmiały protest a obiektywizm za szlachetną postawę humanisty. Dekadentyści „ideal zadumanego bezruchu na szczytach historii i kultury” zbankrutowali w obliczu rzeczywistych ruin. Konfrontacja własnych pomyłek z rzeczywistym procesem historycznym przekształcała stosunek mieszczańskiego inteligenta do świata.

Rozpoczął się wielki proces rewizji własnej postawy i poglądów, wielki proces przechrócenia wszystkiego co najlepsze ze starej inteligencji na pozycje klasy robotniczej. Okres wojny ukazał bowiem ideowe racje w ich konsekwencjach praktycznych. W praktyce przekonywali się ludzie o wartości idei, hasel, programów. Jedność myśli i uczynku, wartościowanie według czynów nie według intencji oznaczało teraz rewizję dotychczasowego stosunku do życia. Krytykizowali się oceny polityczne, przekształcały tradycyjne postawy uczuciowe. Choćby biernie, choćby tylko jako widzowie uczestniczyli ludzie w wielkich rewolucyjnych procesach, których częścią była potężna fala ruchu narodowo - wyzwolenieckiego. Nie mogło to nie pozostawić u nich głębokich śladów. Nie mogło tym bardziej, że pod skorupą samotnictwa i maską obiektywisty kryła się przecież często rzeczywista szlachetność uczuć, patriotyzm (często wstydliwie skrywany), szczerzy demokracizm i głęboka nienawiść do fa-szyzmu. Postawa czynnego oporu przeciw zalewowi faszystowskiego barbarzyństwa zwyciężyła w życiu społecznym. Zwyciężyła ona i w życiu jednostek. Rozpoczął się długi proces moralnej i ideowej ewolucji, okres krytyki starych błędów i żmudnego szukania prawdy o nowym życiu.

PLEWY

Szło do nas wszystko co najlepsze ale pozostawały i plewy. Jeśli tragiczne starcie etycznego porządku koszmarem wojennym burzyło tylko dawny metafizyczny system, jeśli groza okupacji oglądana przez pryzmat wysublimowanej etyki jednostkowych intencji i drgnięć serca rozdziła tylko załamanie nie w zamian nie budując, wówczas był już tylko jeden krok i zaczynała się tragiczna wędrówka w stylu Malraux — od upokorzenia przez wieczny los do anarchicznej zemsty na wszechświecie za ludzką upodlenie. Bo „nie ma ideału, któremu moglibyśmy się poświęcić, bo poznaliśmy kłamstwo wszystkiego, my, co nie wiemy wcale, co to jest prawda”.

Stąd tylko jeden krok — a okazało się, że Bóg umarł, lecz nie nastąpiło ludzkie królestwo. Jeden krok i wkroczyliśmy w grząski świat cynizmu. Cynizmu Camusa i „Sprzysiężenia” Kisieliewskiego — cynizmu, który udawał, że o wiele bardziej interesuje nas nasza własna maniera mówienia przez nos, przyzwyczajanie spania na

brzechu i seksualne dolegliwości niż wszystkie wojny i rewolucje. A jednocześnie otwiera się droga innym „idealom” — spoza postawy bezdolności i cynizmu wychyla się barbarzyńska twarz „mocnego człowieka” — faszysty. Oto konsekwencja fałszywego pseudohumanizmu. Oto kres pseudohumanizmu głoszącego, że to Kirkegaard był największym rewolucjonistą XIX wieku.

IDEA PEŁNEGO CZŁOWIECZENSTWA
Kiedy z tego dusznego świata mieszczańskiej ideologii wracam do myśli o naszym światopoglądzie, mam wrażenie głębokiego oddechu. Płekała jest nasza idea, która ukazuje wagę rzeczy w świecie w ich proporcji właściwej, która uczy społecznej oceny ludzkich myśli i czynów, odkrywa ich źródła, daje świadomość historycznej perspektywy i poczucia współodpowiedzialności za kształtowanie przyszłości swojego narodu i całej ludzkości. Nie ma w niej miejsca na nieokreśloność abstrakcyjnych rozważań etycznych — zamkniętych w sferze myśli. Wychowuje nas ona budząc społeczną wrażliwość na ludzkie cierpienia, przywraca powagę myśleniu politycznemu, uczy słusznego aktywnego reagowania na sprawy społeczne. Jest nauką walki z krzywdą ludzką. Jest praw człowieka do pełnego rozwoju.

I ludzie, którzy przyjęli ją za własną, są pełniejsi, bogatsi. Bogatsi są zarówno w radości jak smutku, bo przybliża im każdy fakt ludzkiej niedzi i poniżenia gdziekolwiek on jest, bo cieszy ich każda nowa fabryka w kraju radzieckim, każde osiągnięcie naszego kraju.

Miara człowieka jest nie tylko stosunek do spraw ogólnospołecznych. Miara człowieka jest także jego stosunek do konkretnych, otaczających go ludzi. Dlatego nieufnie patrzę na tych, którzy głoszą nasze wielkie idee, dyskutują zarządzenie o problemach teoretycznych, o sprawach polityki i rewolucji i nie tylko dyskutują, ale pracują i to pracują ofiarnie — a przechodzą obok nich mimo drobnych ludzkich spraw. Przechodzą obok nich mimo tych spraw nie na miarę historii, ale które dla życia konkretnych ludzi znaczą tak wiele. Zbyt często łączą się to z szeregiem spraw niedobrych.

Przyglądam się Bożeniu. Obserwuję jak zaciekłe potrafi ona bronić formuł, których zrozumienie wypracowała sobie swoim, jakże logicznym, umysłem. Obserwuję też jak jasny i pewny jest jej sąd o ludziach, o ich „nieprzypadkowych” błędach, o ich „zrozumiałej” postawie życiowej. Widzę jak wiele jest w tej „pewności” i „jasności” nieznajomości życia i trudnej drogi życia. Jak wiele niechęci do takiego zrozumienia ludzkich wahań i oporów, które nie prowadzą do przyzwolenia — dają podstawę do przekonywania, przeciągania na naszą stronę.

Bożena nie dokończyła „Anny Kareniny”. Ma ona ciekawą zdolność czytania książek po trochu, po parę kartek dziennie w oznaczonych ściśle porach. Bo Bożena to osoba niezwykle sumienna. Więc pewnie tak czytała i „Zorany ugor” (uważała, że ta książka jest jej „potrzebna”). Czasem czyta także wiersze. Ale o Gałczyńskim np. powiedziała, że „nie w nim nie widzi”.

Bożena ma bardzo wielu znajomych. Nie znam nikogo kogo by mogła nazwać „przyjacielem”.

Jak wiele jest w niej sarkazmu, niechęci do ludzi, złośliwości. Jak mało szczerzej życzliwości do ludzi z najbliższego swego otoczenia. Jak bardzo lubi Bożena krytykować. Jak długo nie może zrozumieć własnych błędów, patrząc z wyżyn przekonania o swoim ideowym poziomie.

Czy nie sądzicie, że jest egoistką mimo całej społecznej terminologii i zewnętrznej postawy jaką sobie przyswoiła, czy nie widzicie w niej wewnętrzne „w” dźwięku? Czy nie wydaje się wam, że nowy światopogląd przyjęty w sferze pojęć ogólnofilozoficznych i politycznych klęci się u niej ze starą postawą moralną? Czy wierzyć, że rzeczywiście dobrze rozumie i potrafi realizować linię naszej partii?

Nie wierzę, aby potrafił dobrze walczyć o nowe życie, walczyć na szerokiej płaszczyźnie życia społecznego człowiek, który nie rozumie, nie widzi otaczających go ludzi, któremu brak wrażliwości na drobne ludzkie cierpienia i bólażki, któremu obce są uroki przyjaźni i piękno poezji.

Bożena, należy jeszcze do starego świata. Nie ona reprezentuje przyszłość.

Znam ludzi innych. Znam żywych ludzi, od których bije piękno duchowej postawy komunisty. Piękno uwewnętrznione w działaniu i w myślach, w stosunku do spraw ogólnospołecznych, w stosunku do ludzi i do siebie samych. Ich wielkość i piękno przejawiają się zarówno w społecznej postawie i politycznej działalności — jak w sferze ich „osobistych przeżyć” — odzwierciedlających nowe w horyzontach myślowych, postawie moralnej, w stosunku do osób, które się kocha, w głębi i subtelności uczuć. Tacy ludzie żyją wśród nas — to oni tworzą siłę naszej partii. To oni żyjąc w epoce dzisiejszej należą już do komunizmu. Do nich należał człowiek, który w ostatniej chwili życia skazany na śmierć przez faszystów pisał w pamiętniku: „Ludzie, kocham was. Bądźcie czujni!” Im dalej będziemy iść w przyszłość, tym będzie ich więcej. To oni są na czele walki mas o sprawiedliwe społeczeństwo, społeczeństwo powszechnego ludzkiego szczęścia i godności.

IERZY KOSSAK

ANNA BUKOWSKA

Po lekturze „Rozstajów“

„Rozstaje”, podobnie jak „Wrzesień”, są powieścią polityczną i wydaje się, że jest to typ powieściowy najbardziej odpowiadający talentowi Putramenta. Strategia polityczna, drapieżne demaskatorstwo, polemika ideowa — to podstawowe elementy jego dwóch ostatnich powieści. W „Rozstajach” wszystkie bez reszty motywy powieściowe podporządkowane są koncepcjom politycznym i nie wykraczają poza tę wyznaczoną im przez autora funkcję. Putrament redukuje nawet wątki osobiste bohaterów wyłącznie do ich działalności społecznej i politycznej, nie ma w powieści takiego wydarzenia, ba, nawet dialogu, który by w swoim wyrazie był obojętny, marginesowy wobec głównego politycznego zagadnienia książki. A co ważniejsze, ta dyscyplina wewnętrzna tekstu, ograniczenie w ukazywaniu życia do jednej strony działalności i przeżyć ludzkich w niczym nie zubaża książki, nie osłabia zainteresowania czytelnika.

„Rozstaje” w swej stylistyce są niewątpliwie kontynuacją „Wrzesnia”, powieścią o krótkim, przyspieszonym oddechu epiokim, bardzo odległą od tradycji klasycznej prozy, gwałtowna, dosadna, często brutalna w języku i stylu narracji. Miejskami styl ten razi nas jakąś ekspresyjnością „na odlew”, brutalnością w partiach nawet czysto opisowych. Przy tym wszystkim jednak proza Putramenta wydaje się nowoczesniejsza w stosunku do większości książek współczesnych, trzymających się kurczowo starych konwencji pisarskich.

Wątpliwości budzi sama konstrukcja powieści. „Rozstaje” dzieli się na dwie części — negatywną i pozytywną. Każda z nich ma swego bohatera, swoje odrębne środowisko, a łączy je wspólna oś wydarzeń, równoległość w czasie i miejsce akcji. W obu częściach te same fakty przełamują się przez pryzmat skrajnie różnych postaw politycznych, reprezentowanych przez reakcyjne podziemie z jednej i przez władzę ludową z drugiej strony. Ponieważ każda z tych części ma swoją wyraźną wymowę polityczną i stanowi pewną autonomiczną całość, nie właściwie nie stałoby na przeszkodzie ich samodzielnego istnienia. Kojarzenie ich w jedną całość nie stanowiło pisarskiej konieczności. Natomiast przetasowanie obu części mogłoby stworzyć zwartą tkankę powieściową. Nasuwa się pytanie dlaczego trud bezpośredniego kojarzenia całego spłotu wydarzeń obu części, ten trud, który pisarz zwyknie bieżąc na siebie pracując nad kompozycją utworu, Putrament przerzucił na czytelnika. Nie wyszło to powieści na dobre.

Część pierwsza „Rozstajów” poświęcona bandzie NSZ-towskiej jest mniej ciekawa, bo mało odkrywcza. Tego Putramenta demaskującego z pasją oblicze moralne i strategię wroga znamy już z „Wrzesnia”,

sam temat z „Władzy” Konwickiego. Tyle że różnice temperamentów pisarskich zapelnily podobny w konturach obraz innymi barwami. Członkowie bandy u Konwickiego to jednaki ludzie, u Putramenta już właściwie tylko wykołębienie. Motywacją postawy i działalności dywersyjnej Derkacza z „Władzy” jest nienawiść do komunizmu podyktowana interesami jego klasy; przedwojenny policjant Turoń z „Rozstajów” jest kreaturą naszczupłą na komunistów, ułożoną do walki z nimi tak jak się układają psy policyjne, a motywem jego postępowania jest chęć zrobienia kariery. Turoń cierpi na wpojony mu kompleks „chama” i nienawidząc komunistów nienawidzi chyba również silnie „panów” i inteligencję. Najbliższą mu ideologią jest faszizm. Obszarnicz patriotyzm Derkacza nie znajduje odpowiednika u Turonia.

Andrzej Wasilewski w recenzji umieszczonej na łamach „Życia Literackiego” dużo uwagi poświęca „psychologii rozróbki”, która niepokoi go w pierwszej części powieści Putramenta, ponieważ wydaje się czymś symptomatycznym w twórczości tego autora. W tym konkretnym wypadku niepokoi tego nie podzielać. W tak wyobcowanym ze społeczeństwa, odizolowanym i zdanym na siebie środowisku, jakie stanowiła banda Turonia, środowisku pozbawionym wszelkiej moralności, żyjącym poza prawem i konwencjami życia społecznego, nie mogły inaczej ułożyć się stosunki między ludźmi. Prawo pięści i strzału w plecy, którym dysponował Turoń, mogło w każdej chwili obrócić się przeciw niemu samemu, o żadnych hamulcach moralnych w bandzie nie mogło być mowy. Dlatego Turoń każdej nocy w inny kat namiotu przekłada swój sennik, dlatego wszędzie upatrjuje spisek przeciw sobie, dlatego boi się konkurencji swego doradcy, dlatego morduje Ostoję, młodego chłopca z AK, który wraz ze swoim oddziałem przyłącza się do Turonia. Ostoję przypomina bardzo Satyra z „Władzy”, jest jednym z tych oszukanych i wywiezionych na manowce ludzi. Ich tragiczna i bezsensowna śmierć budzi głęboki żal. W wątku bandy słabe i nieprzekonywujące są sceny z zagranicznym korespondentem, natomiast bardzo dobrze zrobiony jest napad na wieś.

Wbrew utartym tradycjom własnie część pozytywna jest bardziej interesująca. Tu Putrament robi niespodziankę czytelnikowi tworząc piękną i żywą postać bohatera pozytywnego i to bohatera tego najtrudniejszego rodzaju, na którym wielu pisarzom poświęcono się pióro. Młody oczywiście o Urbanie, starym działaczem partyjnym, którego biografie politycznej autor ukazuje w retrospektywnym skrócie. Nawiasem mówiąc, to cofanie się w czasie, by ukazać rozwój postawy ideowej i socjologicznej postaci zarówno w wypadku Urbana jak i Turonia nie jest wcale niezbędne, wystarczy to, czego się dowiadujemy na bieżąco.

Otóż w postaci Urbana udało się autorowi pokazać żywą i pełną osobowość, przy czym Putrament nie ułatwia sobie tego zadania „uczłowieczając” swego bohatera epizodami życia rodzinnego, przydadz mu drobne nawyki i tzw. „ludzkie” słabości. Urban jest prostym człowiekiem, proletariuszem, jego mądrość wypływa bezpośrednio z doświadczeń praktyki życiowej i praktyki rewolucyjnej. Dlatego jego myśli i słowa tak dalekie są od wytrychów choć słusznych formuł politycznych, dlatego nie są powtórzeniem niczego, ale twórczym dochodzeniem umysłu ludzkiego do prawdy, do słusznej oceny i interpretacji faktów. I właśnie to stanowi główną zasługę autora — ukazanie psychiki postaci i myślowe jej rozwiązanie. A jak wiemy słabością postaci tego typu w naszej literaturze był przede wszystkim brak wnętrza i samodzielności myślenia, co dawało w efekcie szablonowe i powierzchowne ujęcie. Myślę, że drugim momentem, który zażywał o prawdziwie postaci Urbana, jest ta pewna szorstkość Putramenta w traktowaniu swoich bohaterów, która nie pozwalała na zbytne ich idealizowanie. Putrament nie traci nigdy poczucia rzeczywistości, które dla pisarza równoznaczne jest z poczuciem równowagi. Trudno sobie wyobrazić, by spod pióra Putramenta wyszła lakiernicza powieść, jest to cecha zupełnie temu pisarzowi obca. Putrament jest pisarzem-realistą, a literatura lakiernicza i schematyczna w tym nurcie się nie mieści, może istnieć co najwyżej obok niego.

Wycinkowy z konieczności obraz 1945 roku w „Rozstajach” daje studentowi dużą wiedzę o tym czasie. Autor koncentruje swą uwagę na wsi, terenie najtrudniejszym, najmniej uświadomionym, najbardziej wystawionym na działanie wroga. Książka napisana została na zasadzie ostrej polemiki ideowej przeprowadzonej nie tylko między walczącymi obozami, ale i wewnątrz nich. Są to poza tym pierwsze kroki młodej władzy ludowej, przeciw której wrog organizuje nie tylko zbrojna dywersja, ale mobilizuje całą niewiedzę ludzką i zakorzenione w umysłach tradycje, których zadaniem było bronić starego porządku.

Wiele problemów związanych ze sprawowaniem władzy takich jak przebiegi i wypaczenie linii partii w terenie, sekciarstwo władz miejscowych, zła polityka kadrowa, niewłaściwy stosunek do ludzi, typy szkodników społecznych, które znalazły swoje odbicie w „Rozstajach”, są do dziś aktualne.

Kończąc tych kilka uwag po lekturze „Rozstajów” trzeba stwierdzić, że ambicją w założeniu książkę psują skazy formalne — konstrukcji powieściowej i stylistyki. I o to mamy żal do autora.

*) Jerzy Putrament „Rozstaje”, str. 332. Wyd. MON, 1954 r.

MAREK HŁASKO

W pogoni za szczęściem

W dniu 24 maja pewien żyjący nad Donem Kozak ukończył lat pięćdziesiąt. Młodość miał truaną i płodną w czyny; wiek dojrzały zastał go w pięknej sławie. Kozak ten nazywa się Michai Szolochow, mieszka w stacji, łowi ryby, poluje; jako delegat do Rady Najwyższej ZSRR nie narzeka zapewne na brak zajęć; dni jego są znojne, a sen niespokojny.

Jest pisarzem ogromnej siły, ogromnej czystości, wielkiej wiary i nadziei. Pokazuje czasy tragiczne, czasy krwi; stworzony przez niego obraz rewolucji jest najwspanialszym chyba obrazem walki, jaką toczy z sobą i z innymi człowiek. Grigorij Melechow — to ostatni chyba w literaturze bohater monumentalny, soczewka, w której koncentruje się epoka, serce, w którym biją tysiące serc, dusza, w której szaleje tysiąc piekiet; człowiek, który siłą swej namiętności i zarem swego uczucia mógłby odbarzyć setkę bohaterów innych powieści. Grigorij i Aksinia — to ostatnia chyba w literaturze para wielkich kochanków. Tak kochali się Tristana i Izolda, Romeo i Julia, Paweł i Wirginia, Manon Lescaut i kawaler De Grioux. Potem już nikt. Wiele kochanków odeszli, uczucie zastąpił tam erotyzm — na Zachodzie; bezmyślne deprecjacje kaptana i pulardy — u nas. Historię Grigorija i Aksinii powinni czytać ci, którzy czują, że opuszcza ich wszelka nadzieja; miłość tego prostego Kozaka i prostej Kozaczki to wielka rzeka życia, rzeka bólu, rzeka nadziei. To miłość namiętna, zmysłowa, dzika, miazdząca przeszkody, obyczaję, religię; do diabła! — ta miłość, przez swoją siłę, przez swoją wielkość wytworzyła własną moralność. To miłość czysta, lecz pełna gniewu. Kochankowie są gniewni, wyzywają los; ich miłość nie traci formatu nawet w owych dniach, kiedy stępy wilgotne są od świeżej krwi, noce pełne mordu, a niebo złote od pożarów; kiedy świat podobny jest do okrutnej rzeki, która wyrwała się ze swego koryta i rwie naprzód, miazdząc na swej drodze wszystkich, co podłże i stare.

Lecz rewolucja u Szolochowa to nie tylko krew i pożary. Wielkość pisarza polega na tym, że ludzie walczący walczą ze sobą w imię pełnych racji; że owe racje sprawdza dzień po dniu bieg rewolucji, że kruszą się one lub twardnieją, że po wielkiej szkole życia, jaką jest rewolucja — każdy wychodzi z cenzurą; są one różne, lecz nikt nie wychodzi pusty. Zapłacił olbrzymią cenę. I kiedy wreszcie milną ostatnie strzały, kiedy pokój wkracza na zmaltretowaną donską ziemię, śmiertelnie zmęczeni bohaterowie nie kończą walki — rewolucja trwa nadal.

Jest u Szolochowa jakaś wielka pogoda za szczęściem, za prawdą, za miłością. Jest u Melechowa i innych jakaś ogromna pasja — zalecenia w życiu czegoś olbrzymiego, w imię czego warto żyć, kochać, nienawidzić. Po przeczytaniu tej epopei człowiek czuje się oczyszczony; zobaczył rzeczy największe; sam pragnie szukać, tak jak szukał Fabrycy del Dongo, Lucjan de Rubampre, Bezuchow. Są to postacie-giganty. W nich odbijają się wszystkie sprzeczności, konflikty, przemiany epoki. Współczesna powieść nie pokazuje — tak jak wielka powieść XIX wieku lub powieść Oświecenia — konfliktów przez osobę jednego bohatera; osiąga to innymi środkami: przez dramatyzację, fabulę. Lecz mniejsza z tym! Kilka tych uwag przyszło mi na myśl w związku z prowadzoną na łamach POPROSTU dyskusją o szczęściu; przyszło mi na myśl, gdyż owa „pogoń za szczęściem” jest jednym z odwiecznych tematów li-

teratury, rzec można, że jest jej największym kamieniem fundamentalnym.

Niech nie zarzuca mi nikt, że we wspaniałym, wstrząsającym obrazie rewolucji, jakim jest „Ci chy Lon”, dopatruję się wyłącznie pogoni za miłością czy kobietą. Nie! Lecz czym w końcu jest rewolucja, jeśli nie największą pogonią za szczęściem, za prawdą? Rewolucja jest nadzieją milionów ludzi, jest szczęściem najtrudniejszym. I — na miłość Boską! — nie chcę tu mówić o jakiejś idealistycznej, ponadklasowej rewolucji. Mówię o naszej rewolucji.

Stendhal powiedział: „Pogoń za szczęściem jest przeważnie bezcelowa, lecz warto poświęcić dla niej życie”. Czy tak? Czy rzeczywiście bezcelowa? Nie mogę odpowiedzieć po prostu: „nie”; mogę mówić tylko we własnym imieniu i wydaje mi się, że nie. Szczęście nie jest ogródkiem, po którym można chodzić, nie jest obrazkiem, który można powiesić na ścianie i oglądać. Szczęście to sprawa sumienia, szczęście to chyba także suma cierpień, rozgorzceń, rozczarowań, przegranych miłości; i ten rachunek tylko wtedy nazwać możemy owym dziwnym słowem, jeśli przeciwstawimy mu sumę rzeczy dokonanych, pragnień, miłości i walk. Rozwścieczają i obrażają mnie — jako jednego z milionów ludzi — te formuły na szczęście: „Organizacja plus praca plus ukończony człowiek równa się szczęściu”. I to jest szczęście? Nie wiem, co to ma wspólne ze szczęściem. Twórcy formułek też chyba nie wiedzą.

Komunizm nie jest rajskim ogrodem i nigdy nim nie będzie. Dopóki żyją ludzie nie skończy się nigdy walka o lepsze, o nowe. Ludzie nie są tacy sami. Mają różne twarze, sumienia, oczy i serca. Nowe serca muszą krwawić zwąpnienia w starych sercach, nowe oczy muszą dawać blasku starym oczom. Ludzkość nie jest chorem aniołów i ogródka rajskiego nie zbuduje nigdy. I trudno by chyba było w takim ogródku. Koncepcja szczęścia jest twarą i okrutna, trzeba walczyć. Codziennie, każdą myślą i czynem. Szczęście to sprawa nadziei, a także i przede wszystkim dnia dzisiejszego a ci, którzy chcą być szczęśliwi, muszą iść za nadzieją. Komunizm, szczęście — nie są to sprawy dla młodych ludzi, dla młodych serc, dla młotkich sumień-lusterek. Formuły na szczęście nikt nie da. Czy my, którzy przez dziesięć lat w trudnych, nieraz tragicznie trudnych warunkach budowaliśmy nasze życie, nasze państwo, możemy już dzisiaj powiedzieć: oto zbudowaliśmy już pełne szczęście dla wszystkich. Nie. Lecz jesteśmy ludźmi, którzy budują, kochają, meczą się, nienawidzą w imię tego, co już osiągnęliśmy, czego dokonaliśmy, co stworzymy pojutrze. Ten tylko może być szczęśliwy, kto ma wielkie oczy i potrafi nimi daleko patrzeć, kto ma wielkie serce i potrafi nim wiele czuć, kto ma wielkie sumienie i potrafi nim nienawidzić wszystkiego, co jest podłe i przeciw szczęściu. Świat jest dziś wielkim ogniem i małe serduska stopią się w nim, jak grudki ołowiu. Autor „Pustelni Parmeńskiej” powiedział: „Bezelowa jest pogoda za szczęściem, lecz warto poświęcić dla niej życie”. My wiemy, że jest ona celowa i tylko dla niej warto poświęcić życie. Ech, towarzysze! Nie śpiewajmy formułek i pieśni o szczęściu. To nie tango. Jeśli się chce być szczęśliwym, tym najtrudniejszym szczęściem, jakim jest komunizm, to częściej od śpiewu trzeba zaciśnąć usta i rozprostować plecy. Pieśnią jest chyba samo życie.

MARIAN KUSA

POPROSTU 5

Optymistyczne podsumowanie



Scena z programu satyrycznego zespołu Uniwersytetu Poznańskiego.

(Dokończenie ze str. 1)

stosunkowo najmłodszy. Poza teatrem warszawskim większość pozostałych powstała dopiero w ciągu ostatniego roku akademickiego. Tym niemniej bogactwo treści, różnorodność form stosowanych w poszczególnych programach wykazywały, jak duża popularność zdobyły sobie wśród młodzieży studenckiej w tak krótkim czasie teatru satyry.

Przedstawienia satyryczne, których autorami i wykonawcami są same zespoły, dają młodzieży cenną broń w zwalczaniu przejawów wszelkiego zła, nie tylko w życiu uczelnianym, ale i w życiu społecznym. Organizacja ZMP-owska. Z drugiej strony — skupiając wokół siebie młodzież o najprzeróżniejszych zainteresowaniach i zdolnościach — teatry satyryczne staną się niebawem najbardziej atrakcyjną formą życia kulturalnego poszczególnych uczelni.

Eliminacje warszawskie stały pod znakiem rywalizacji dwu najlepszych w tej chwili studenckich teatrów satyrycznych: zespołu warszawskiego i zespołu Politechniki Gdańskiej. Chyba występ nasuwał też stosunkowo najwięcej spostrzeżeń nadających się do szerszego uogólnienia. O przedstawieniu warszawskiego Teatru Satyryków zamieściliśmy już dwie wypowiedzi polemiczne. Zabierając ostatecznie głos, trzeba wyraźnie powiedzieć, że „Konfrontacja” jest bardzo cennym oraz słusznym w zamierzeniach i realizacji głosem w sprawach ideologicznych, które wypłynęły po II Zjeździe ZMP i przyniosły tyle nieporozumień i dyskusji. Program warszawski skutecznie i boleśnie uderza we wszystkie wypaczenia w pracy organizacyjnej, stara się ukazać jej właściwy kierunek. Tendencje twórców programu są jak najbardziej godne poparcia.

Nie zawsze jednak słuszne myśli zostały w „Konfrontacji” precyzyjnie pokazane, nie zawsze jasno docierają do widza, co stało się przyczyną wielu nieporozumień. Spowodowała to m. in. nieczytelność niektórych point oraz niedopracowania inscenizacyjne (na przykład scena w katakumbach).

W porównaniu z innymi programami „Konfrontacja” zaskakiwała wysokim poziomem literackim tekstów. (Teatr warszawski jest w tej szczególnej sytuacji, że ma do dyspozycji kilka tegich piór młodych poetów i prozaików). Refleksyjność i psychologiczne zaplecze niektórych tekstów sprawiły, że w rezultacie przedstawienie mniej bawiło i rozśmieszało, więcej zaś zmuszało do zastanowienia, do przemyślenia pewnych spraw, słowem, posiadało tzw. „drugie dno”, obfitujące w treści intelektualne. Studencki Teatr Satyryczny w Warszawie zaprezentował oddzielny kierunek polegający na ostrym starciu widowni ze sceną, kierunek dyskusji, która nie kończy się po zapadnięciu kurtyny. Poszczególne sceny stają się dla widza pretekstem do nowych skojarzeń, do przemyślenia na nowo pozornie dobrze znanych zjawisk.

Zupełnie odmienny styl pokazał nam zdobywca pierwszej nagrody — teatr satyryczny Politechniki Gdańskiej. Program tego zespołu zawierał mniej dyskusji ideologicznej, był typowym programem „do oglądania”. Tekst literacki odgrywał minimalną rolę. Całość oparta była na arcyceiekawych pomysłach inscenizacyjnych, istnych fajerwerkach dowcipu i paradoksu. Takie numery, jak parodia filmów, czy parodia cyrku stają się na pewno trwałym dorobkiem amatorskiego ruchu studenckiego.

O pomysłowości twórców programu może na przykład świadczyć fakt bardzo dyskretnego wzbogacenia wykonywanych piosenek przez ciekawe chwytły inscenizacyjne. Oto duet — młoda dziewczyna i chło-

piec śpiewają na ulicy piosenkę o tym, że nie ich nie rozłączy. W dali za nimi widać słup ogłoszeniowy. Po zakończeniu piosenki oboje, trzymając się za ręce, odchodzą w tył sceny. Znajdują się w pewnym momencie po obydwu stronach zagradzającego im drogę słupa. Ku zaskoczeniu widowni — słup pęka po środku, jego górna część unosi się w górę, a młodzi przechodzą dalej — nierozłączeni.

Świetne operowanie scenograficznymi skrótem, sytuacjami, tworzenie wzruszających niekiedy obrazów przy minimalnym użyciu słowa — oto cechy przedstawienia gdańskiego. Ten typ ma chyba największe szanse spopularyzowania się wśród zespołów satyrycznych innych uczelni Polski. Przemawia za tym dodatkowo fakt, że nie każde środowisko może sobie pozwolić na dobre teksty literackie a tym samym na program zbliżony do „Konfrontacji”. W tym też kierunku — pogodnego uśmiechu i zabawy — zmierzał program zespołu satyrycznego Uniwersytetu Poznańskiego (świetna parodia piosenki na Studium Wojskowym) oraz program zespołu krakowskiego.

Na zakończenie mała uwaga na temat konferansjerki w zespołach

amatorskich. Przykład łódzkiej „Pstrągów” (omawialiśmy już ten program w POPROSTU) dowiódł jeszcze raz, że zespół amatorski musi być dysponować wyjątkowym talentem, który by mógł utrzymać na swych barkach dowcipne i nie nudzące zapowiadanie całego programu. Na to może sobie w Polsce pozwolić chyba tylko — Kazimierz Rudzki. I dlatego postać stałego konferansjera w studenckich zespołach amatorskich jest prawie równoznaczna z niepowodzeniem występu, zwłaszcza wtedy, gdy tekst konferansjerki jest nienajlepszy. Warto i pod tym względem wziąć przykład z zespołu gdańskiego, który wiązał poszczególne numery muzyką, piosenką czy też pomysłowymi elementami graficznymi.

*

W sumie tegoroczne Centralne Eliminacje Studenckich Zespołów Świetliwowych są radosną oznaką poważnego rozwoju życia kulturalnego na uczelniach, przejawiającego się w nowej treści i bogactwie na nowo odkrywanych form artystycznych.

Dziś 5 zdjęć w konkursie na najładniejszy uśmiech studentki

Zachowaj ten numer, bowiem już w przyszłym tygodniu POPROSTU przeprowadzi wśród wszystkich czytelników specjalny plebiscyt i wtedy odpowiesz, który z uśmiechów najbardziej Ci się podobał. Udział w plebiscycie będzie również szansą do zdobycia nagrody.

Pamiętaj: już w następnym numerze ostatnie uśmiechy oraz kupon plebiscytowy. Postaraj się zdobyć ten numer jak najwcześniej, gdyż plebiscyt potrwa tylko cztery dni.



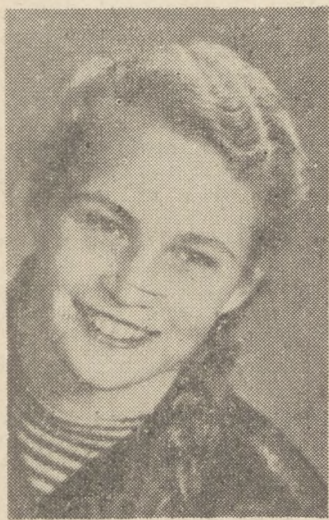
Zdjęcie konkursowe — 55



Zdjęcie konkursowe — 56



Zdjęcie konkursowe — 57



Zdjęcie konkursowe — 58



Zdjęcie konkursowe — 59

W odpowiedzi „Andrzejowi Jeżewiczowi“

Czy potrzebne są takie artykuły?

GRZEGORZ JASZUŃSKI

Ob. „Andrzej Jeżewicz“ o-
głosił w POPROSTU Nr
21 artykuł pod gromkim
tytułem „Czy potrzebne
są studia dziennikarskie?“
W artykule tym autor
słusznie wywodzi, że od dziennika-
rza naszej prasy wymaga się po
pierwsze — marksistowskiego światop-
oglądu, po drugie — gruntownej
wiedzy, po trzecie — jak pisze —
„iskry dziennikarskiej“. Do tych
trzech kwalifikacji dodałbym czwartą:
sumiennosc.

Artykuł ob. „Jeżewicza“ jest bo-
wiem dowodem tego, że bez sumienn-
nego podejścia do jakiegokolwiek
zagadnienia nie można go poważnie
potraktować, a pochopnie wyciągnię-
te wnioski mogą być błędne lub
wręcz szkodliwe.

Gdyby ob. „Jeżewicz“ był sumien-
ny, to by nie napisał, że absolwenci
wydziału dziennikarskiego „dzien-
nikarzami faktycznie nie są i co
gorsza — istnieje mała nadzieja, że-
by nimi w ogóle kiedyś zostali“. Nie
napisałby, bo byłby się dowiedział,
że dopiero w tym roku, w czerwcu,
opuszcza wydział dziennikarski
pierwsi „normalni“ absolwenci, czyli
absolwenci po studiach 4-letnich i
po egzaminie magisterskim. Nie na-
pisałby, bo byłby się dowiedział, że
przeważająca większość dotychczas-
owych absolwentów (po skróconym
kursie 3-letnim) pracuje z pożytkiem
w redakcjach, i że niektóre redakcje
pozawarszawskie składają się w
większości z takich właśnie absol-
wentów.

Czy oznacza to, że absolwenci
„dziennikarski“ są już „skończonymi“
publicystami, reporterami itd.?
Oczywiście, że nie! Czy oznacza to,
że nie powinni dalej pracować nad
sobą i uczyć się? Oczywiście, że nie
oznacza!

Niech ob. „Jeżewicz“ zastanowi
się, czy absolwenci, dajmy na to,
Akademii Lekarskiej lub Politechni-
ki są od razu „skończonymi“ profe-
sorami medycyny lub wybitnymi ar-
chitektami.

Gdyby ob. „Jeżewicz“ był sumien-
ny, to by nie napisał, że „ilość prac
pisemnych na tym wydziale (dzen-
nikarskim) jest niższa niż w innych
wydziałach humanistycznych“. Nie
napisałby, bo bez trudu mógłby się
dowiedzieć (zamiast pisać „o ile mi
wiadomo“), że tak nie jest i że
zwłaszcza w ostatnim roku na wy-
dziale dziennikarskim znacznie po-
większono ilość prac i ćwiczeń pi-
semnych.

Gdyby ob. „Jeżewicz“ był sumien-
ny, to by nie napisał, że „zaplano-
wano bowiem, że przez cztery lata
studiów kończyć mają wydział
(dziennikarski) omnibusy, encyklo-
pedycy z zakresu filozofii, polityki,
literatury, sztuki, ekonomii, techniki
itd. itd.“ Nie napisałby, bo łatwo

mógł ustalić, że nikt nigdy niczego
takiego nie „zaplanował“.

Mógł natomiast dowiedzieć się, że
wydział stale pracuje nad lepszym
przystosowaniem swego programu
do potrzeb praktyki prasowej, że
utworzono w ostatnim roku pięć no-
wych seminariów kierunkowych,
dziennikarskich, że wydaje się obec-
nie na wydziale stałą gazetę „szko-
leniową“ pt. „Horyzonty“, że uru-
chomiono szereg pracowni praktycz-
nych itd. itd.

Warto by również wiedzieć, że
pracownicy wydziału drukują obec-
nie 5 skryptów w PWN, że od-
dano także do druku I tom zbioro-
wej pracy pt. „Prasa Współczesna“,
że w ostatnich tygodniach studenci
wydziału złożyli 120 prac magister-
skich, w tym wiele bardzo cieka-
wych.

Ale, niestety, tego wszystkiego ob.
„Jeżewicz“ nie chciał wiedzieć...

Jak najdalszy jestem od myśli, że
wydział dziennikarski nie podlega
krytyce i że wszystko już na tym
wydziale zbliża się do ideału. Wręcz
na odwrót. Uważam, że wiele spraw,
związanych z wydziałem, wymaga
jeszcze przedyskutowania i kryty-
ki. Lecz krytyki rzetelnej i sumien-
nej, a nie takiej, jakiej przykład dał
ob. „Jeżewicz“.

Gdybyśmy zaś przeszli do poważ-
nej dyskusji, to by się okazało, że
nie wytrzymuje krytyki również je-
dyny konkretny pomysł czy projekt

ob. „Jeżewicza“, a mianowicie wnio-
sek w sprawie „dwuletnich studiów
dziennikarskich dla tych, którzy u-
kończyli już określony wydział spe-
cjalistyczny“. Pomysł ten jest o tyle
niesłuszny, że oznaczałby faktyczne
przedłużenie studiów dziennikarskich
z obecnych 4 lat do lat 6, na co nas
obecnie nie stać, i oznaczałby tym-
czasowe zahamowanie dopływu no-
wych kadr dziennikarskich, na któ-
re — pomimo wszystkich rzeczywis-
tych niedostatków wydziału dzien-
nikarskiego — popyt jest nadal bar-
dzo duży ze strony różnych redakcji,
agencji, wydawnictw itd.

W obecnej zaś sytuacji, gdy wy-
dział dziennikarski istnieje i uwa-
żany jest za potrzebny, artykuł ob.
„Jeżewicza“ wniesi może tylko
dezorientację wśród młodszych stu-
dentów wydziału, a w żadnym razie
nie może przyczynić się do zapoczą-
tkowania pożytecznej dyskusji o stu-
diach dziennikarskich.

Na zakończenie jeszcze dwa dro-
biazgi. Po pierwsze, podpis „An-
drzej Jeżewicz“ — to podobno pseu-
donim. Nie wydaje mi się słuszne
podpisanie tego rodzaju artykułu
pseudonimem. Chyba, że sam autor
miał nieczyste sumienie... Po drugie,
autor pisze o „posługiwaniu się w
formie pisanej mową polską“, jedno-
cześnie jednak popełnia błędy styli-
styczne w rodzaju „za wyjątkiem“
lub „dziennikarzom trzeba rosnąć“.

Mala rzecz, a wstyd.

O sumiennosci

S polrzy czytelnik na tytuł,
spójrz na podpis autora i
pyta: Jakże to, po wielokroć
odsądzony od sumiennosci Je-
zewicz chce zabierać głos w
tej właśnie sprawie? Nie
chciałem, ale zmusił mnie do
tego red. Jaszuski. Zmusił,
bym zadenotował przed czytelnikiem
wdzięk szat, z których mylnie są-
dził, że mnie obnażył. Nie zgodziłbym
się na tę farsę, gdyby red. Jaszuski nie
pisał... sugestyni.

Przed przystąpieniem „ad rem“ ma-
jąc niezbędną uwagę. W artykule „Czy
potrzebne są studia dziennikarskie“
(przynajmniej — tytuł nienajszczęśliwszy)
pisałem, że od dziennikarza naszej
prasy wymaga się m. in. marksistowskiego
światopoglądu. Sądzilem, że sumiennosc,
uczciwosc ludzka wiąże się jak najściś-
lej z tym pojęciem. Red. Jaszuski jest
widocznie odmiennego zdania, skoro do-
daje sumiennosc jako jeszcze jeden od-
rębny warunek (no cóż, można i tak).
Robi to wskazuje po to, by dowieść, że
Jeżewicz jest sumiennosc całkowicie
pozbawiony.

Zarzuca mi red. Jaszuski, że nie po-
winienem pisać jakoby absolwenci wy-
działu dziennikarskiego nie zdawali
egzaminu w praktyce codziennej pracy,
gdyż „normalni“ mają opuścić uczelnie
dopiero w tym roku, a większość „nie-
normalnych“ pracuje z pożytkiem. Przy-
znam się, że nie trafla do mnie ta ter-
minologia („z pożytkiem“ dla redakcji
pracuje również goniec). Nie jest ona w
stanie ukryć faktu, że większość absol-
wentów sekcji dziennikarskich nie jest
dziennikarzami w całym tego słowa zna-
czeniu.

Skąd o tym wiem? Między innymi z
rozmów z odpowiedzialnymi towarzy-
szami z „Gazety Poznańskiej“, „Trybu-
ny Robotniczej“, „Dziennika Zachodnie-
go“, Rozgłośni Polskiego Radia w Stali-
nogradzie i jeszcze kilku innych redak-
cji, jak również z rozmów z samymi
absolwentami. Nie od rzeczy będzie tu
zacytować dyr. Kofę z PR w Stali-
nogradzie: „Przez dwa lata załamywali-
śmy ręce i ścieraliśmy z nich (absolwen-
tów sekcji dziennikarskich — A. J.)
przyzwyczajenia zdobyte na uczelni.
Uczylimy dziennikarstwa od ABC. Jak
dotąd — tylko znikomy procent z tego
skorzystał“.

To są fakty, tak jak faktem jest za-
obserwowane m. in. przez sekretarza
redakcji „Gazety Poznańskiej“ zjawisko,
że na stu praktykantów (już tych z
„normalnych“ studiów), którzy odbywali
praktykę w gazetach Poznania — tylko
dziesiątka wykazuje predyspozycje
dziennikarskie. Miałem więc chyba pra-
wo, a nawet obowiązek napisać tak, jak
to zrobiłem w artykule. A że się to ko-
muś może nie podobać — to już inna
sprawa, nie mająca z moją sumiennoscą
nie wspólnego.

Z zarzutem fałszowania obecnego
stanu nauki na wydz. dziennikarskim
nie będę polemizował, gdyż wyręcza
mnie w tym zupełnie nieświadomie stu-
dent tego wydziału kol. K. Z. (patrz
artykuł obok).

Z tego co ja wiem, jak również z
„głosu studenta“, fetyszyzowanie prze-
dłużonych studiów dziennikarskich nie
ma najmniejszych podstaw, jeśli się chce
liczyć z obiektywną rzeczywistością.

„Gdybyśmy zaś przeszli do poważnej
dyskusji“ — pisze red. Jaszuski przy
końcu swego artykułu — to by się oka-
zało, że projekt przedłużenia studiów o
dwa lata nie wytrzymuje krytyki, gdyż

„czysto“ naukowy (uczelnie tech-
niczno, medyczny);
po drugie: w niektórych pracach
przesadza się fałszywe, nienaukowe
teorie i co gorsza, nie znajduje to
odporu na konferencjach, w dysku-
sjach. Np. w WSR w Olsztynie, na
udanej skądinąd konferencji, w
trzech referatach zawarte były te-
zyz malutkizantizmu. Na Akademii
Medycznej w Warszawie przytacza-
no nieraz opinie zagranicznych re-
akcyjnych profesorów bez krytycz-
nego ustosunkowania się do nich.

Na teź Akademii prowadzono pra-
cę na temat „Wpływu stanu mig-
dałków na postępy w nauce“, w
której abstrahowano od wpływu
środotwiska, warunków itp.

Wydało się, że plan KN powin-
nie być tak zbudowany, aby obok
zagadnień praktycznych uwzględ-
niono również zagadnienia teore-
tyczne i światopoglądowe (nie ty-
ko w naukach humanistycznych).
Trzeba czuć nad tym, aby roz-
pracowanie poszczególnych tema-
tów było oparte o marksistowską
metodę naukową.

Zasadniczym kierunkiem pracy
naukowej — badawczej w poszcze-
gólnych typach uczelni winna być
troska o przepełnienie konkretnych
prac specjalistycznych treściami
światopoglądowymi. Niesłuszna jest
tutaj dwutorowość tzn. istnienie z
jednej strony kół nauk społecznych
z abstrakcyjną tematyką, z drugiej
z — kół specjalistycznych o
wąskim, praktycznym charakterze.
Rozwiązanie może iść w dwóch kie-
runkach: albo plany KN nauk spo-
łecznych będą obejmowały tematy

związane ze specjalnością uczelni,
albo też w kołach specjalistycz-
nych będą rozpatrywane m. in.
problemy ideologiczne, teoretyczne
— przy pomocy konsultantów z
tych katedr.

Wyniki w pracy naukowej — ba-
dawczej zależą przede wszystkim
od czterech czynników: aktywnej
pracy i zdolności studentów, opi-
ki i pomocy kadry naukowej, wła-
ściwej organizacji pracy oraz wła-

Głos studenta

O nauce dziennikarskiego fachu

Człowiek, który zdobył jakimś
pudłem prawo jazdy, a nie po-
turali prowadzić samochodem —
nie jest szoferem. Absolwent,
który kończy dziennikarstwo,
i nie umie pisać — nie jest
dziennikarzem. Ale o tej pod-
stawowej prawdzie zapomniał
się na studiach dziennikarskich już od
początku — od chwili zdecydowania o
przyjęciu kandydata na studia. Nikt bo-
wiem nie przeprowadza wtedy próby
umiejętności pisania. W ten sposób
przynajmniej się często tych, którzy nigdy
nie będą wartościowymi członkami ze-
spółu redakcyjnych.

Wiem za podstawę naszych rozważań
obecny rok czwarty. Student, który
kończy obecnie naukę, wstąpił na Uni-
wersytet w 1951 r. W gąszczu okienek
siatki zajęć obok innych przedmiotów
figurowała również „Organizacja i tech-
nika pracy dziennikarskiej“. Miał więc
z wielką nadzieją i zapałem uczęszcza-
ć na ćwiczenia. Nie trwało to długo.
„Revelacje“ wiadomości o tym, że
nie można się posługiwać kopiowaniem
ołówek, że najlepiej robić notatki w
maszynie oprawionym bloku — po kil-
ku tygodniach przestały być „revela-
cjami“ i zaczęły nudyć. Do końca roku nie
wprowadzono właściwie nic nowego.

Na drugim roku zaczęliśmy pisać. W
przeciągu ośmiu miesięcy trzeba było
opracować około sześciu komentarzy z
dziedziny międzynarodowej. Rzeczowe
uwagi red. G. Jaszuskiego pozwoliły
na zdobycie pewnego zasobu wiadomo-
ści. Niestety — była to w zasadzie jed-
na próba skutecznego informowania
studentów w jaki sposób i o czym na-
leży pisać.

Później przyszedł rok trzeci. Na pod-
stawie kilku wykładów (w okresie obu
semestrów) m. in. red. F. Brodzkiego,
kandydata na pracowników prasy mieli
oddać... Jeden, bliżej nieokreślony —
jeżeli chodzi o formę — artykuł. Urza-
dzono więc kolekwium z tzw. reporta-
żu. Czy ktoś sprawdzał te prace — nie
wiadomo. Faktem jest jednak, że już
nazajutrz bez jakiegokolwiek kontroli ich
wyrażenia opinii o złożonej pracy redak-
tor Brodzki składał swój podpis w od-
powiedniej rubryce stwierdzając tym
samym, że student X czy Y opanovał
odpowiedni zakres wiedzy z dziedziny
pisania.

Podczas czwartego roku studiów na-
stąpiły zmiany w kierownictwie wydzia-
łu. Nowy dziekan — tow. J. Halpern —
wkrótce przekomiał się widocznie, że stu-
denci nie potrafili pisać (mowa oczywiście
nie o wszystkich). Wprowadzono
więcej zajęć praktycznych. Zreorganizowa-
no grupy. Powstały formy specjalizacyj-
ne. W ten sposób próbowano nadrobić
zaległości lat ubiegłych. W chwili, gdy

popyt na absolwentów wydz. dziennika-
rskiego jest bardzo duży.

Tym zdaniem ob. Jaszuski nie wyja-
śnił wiele, bo o ile wiem z rozmowy z
dyrektorem Departamentu Studiów Uni-
wersyteckich MSW już w tym roku z
zatrudnieniem wszystkich będą pewne
kłopoty.

Zdemobilizował ohywał studentów —
ganił mnie ob. Jaszuski. Zarzut trudny
do sprawdzenia. Jednak w podtekście
mojego artykułu można było chyba wy-
czytać myśl, że nie posiadanie dyplomu
(nawet magisterskiego) ukończenia
studiów dziennikarskich, ale własna
wiedza (zdobyta na wydziale czy poza
nim) i umiejętności dziennikarskie za-
decydują o przydatności w przyszłej
pracy. A taka teza chyba nie demobilizuje.

Z jednym zgadzam się w artykule red.
Jaszuskiego — bo dowiódł tego swą
wypowiedzią — że nie zapoczątkowałem
merytorycznej dyskusji.

Widzę również teraz, że pisząc o nie-
zbędnych cechach pracownika prasy,
zbyt marginesowo potraktowałem kultu-
rę osobistą dziennikarza. Lektura arty-
kułu ob. Jaszuskiego dowiodła, że jest
to warunek, którego w żadnym wypad-
ku pomijać nie wolno.

Wreszcie chciałbym powiedzieć, że na-
zwiska Andrzej Jeżewicz nie należało
brać w cudzysłowy, bo to i pracy więcej,
i nieładnie wygląda. Wystarczyło nato-
miast przeprzeć ostatnie numery PO-
PROSTU, by zobaczyć to nazwisko nie
jeden raz.

ANDRZEJ JEŻEWICZ
PS. Za zwrócenie mi uwagi na bari-
kady stylistyczne dziękuję — no cóż, i ja
jestem absolwentem tego wydziału.

Ob. Jaszuski: W następnym numerze
poinformuje o stanowisku redakcji w
sprawie studiów dziennikarskich.

student musieli skoncentrować swoje
wysiłki dla pisania prac magisterskich,
gdy należało raczej odciążyć ich od nad-
miernych obowiązków, na gwałt rozpo-
częło się szkolenie specjalistów od re-
portażu, felietonu, radia... W różnych
grupach odmienne były sposoby prowa-
dzenia tych zajęć. Oto jak wyglądały
one np. na publicystyce międzynarodowej:
Semestr pierwszy. Początkowo
przyszli wysocy. Miał być również red.
Marian Podkowiński. Nie przyszedł. Nie
było go też przez kilka następnych ty-
godni. Wyjechał do Berlina. Zastępstwo
objął red. Zygmunt Broniarek. Zjawił
się raz. Później wyjechał do Sztokhol-
mu. Kolejne zajęcia prowadził red. Je-
rzy Rawicz, podczas których opowiadał
w zasadzie o swoich przeżyciach. Wkrót-
ce wyjechał. Do końca semestru nie było
nikogo. Podpisy wszystkim bez wy-
jątku rozdał w lutym red. Broniarek.
Semestr drugi. Pobyt red. Podkowiń-
skiego w Niemczech przedłużał się. Se-
minarium objął więc red. Wiśniewski ze
„Sztandaru Młodych“. Oto robczy tytuł
pierwszej pracy z publicystyki mi e d z y n a r o d o w e j: „Umiancie
się spółdzielni produkcyjnej leży w in-
terese spółdzielców“.

Tyle faktów. Są one najlepszym dowo-
dem macoszego traktowania na „dzen-
nikarce“ tych przedmiotów, które mają
na celu fachowe kształcenie przyszłych
dziennikarzy. Cztery ubiegłe lata stu-
diów nie sprzeczywały nikomu właści-
wego pojęcia raportu czy innej formy
artykułu, nie nauczyły ich praktycznej
szczegółowej dziennikarskiej warsztatu.

Na inne bolączki załą się natomiast
uczestnicy specjalizacji ekonomicznych.
Przekonano bowiem studentów, aby za-
jęli się problemami, które przekraczają
zakres ich naukowych możliwości. Ta-
kie tematy jak sprawa akumulacji w
spółdzielni produkcyjnej czy walka o
przyspieszenie obrotu środków trwałych
w przemyśle — wymagały dodatkowych
intensywnych studiów ekonomicznych, a
nie powierzchownego przygotowania, ja-
kie dają studia dziennikarskie.

„Arcyciekawa“ jest natomiast specja-
lizacja sportowa. Przez kilka kolejnych
miesięcy studenci zajmowali się historią
sportu w starożytnym Rzymie, przeszo-
ścią igrzysk naszych praoców. Niewiele
natomiast mówiono o sprawach, które
mogłyby naprawdę przynieść korzyść
dziennikarzom działu mającego na celu
popularyzowanie rozwoju fizycznej

Fakty podane wyżej prawie w całości
dotyczą również lat młodszych. Weźmy
np. obecny rok trzeci. Semestr trzeci i
czwarty przeznaczony był na pisanie
komentarzy. Wiele z tych zajęć prowa-
dził kol. Antoni Kruczkowski, który wy-
przedza swoich „uczniów“ tylko jednym
rokiem studiów. Czy mógł on udzielać
fachowych wskazówek w tym zakresie
nie mając za sobą żadnej praktyki re-
dakcyjnej? Czy mógł on uczyć pisać in-
nych, jeśli sam niewiele w życiu napisał?

Do historii „dziennikarki“ przejdzie
również inny fakt, świadczący o złym
doborze wielu pracowników naukowych
wydziału. Jeden z asystentów określił
fragment pewnego komentarza jako
zwykły nonsens. Jak się później okazało,
autorka tej pracy dopuściła się nie-
uczciwości, gdyż... zastrzeżony fragment
przepisała z autorytatywnego artykułu
„Nowych Czasów“.

Idmy dalej. W ramach „nauki o
dziennikarstwie“ studenci obecnego
trzeciego roku otrzymali w swoim czasie
od prowadzącej ćwiczenia polecenie
przestudiowania odpowiednich broszur.
Na tej podstawie przez wiele zajęć za-
stanawiano się co to jest korekta, jakie
istnieją rodzaje adustacji itp. Zalicze-
nie tych ćwiczeń można było uzyskać po
wyrecytowaniu przed asystentką treści
odpowiedniego rozdziału zaleconej lek-
tury. Nikt nie pomyślał natomiast o
praktycznym sprawdzeniu zdobytych
wiadomości.

Nudna i mało ciekawa jest nauka
dziennikarskiego fachu na obecnym ro-
ku pierwszym. Opracowywanie przez
wiele miesięcy sztamponowych notatek i
komunikatów na pewno nie zachęci do
pisania.

Nie trzeba chyba przytaczać więcej
faktów i argumentów. Są one i tak wy-
mowne. Dlatego czas już pomyśleć nad
poważnym ulepszeniem systemu studiów
dziennikarskich.

K. Z.
(nazwisko znane redakcji)

Ob. Jaszuski: W następnym numerze
poinformuje o stanowisku redakcji w
sprawie studiów dziennikarskich.

Na tle ogólnego ożywienia
pracy naukowo — badaw-
czej, jakie dało się ostat-
nio zaobserwować, widzi-
my jednak szereg bra-
ków. W artykule tym
chciałbym zwrócić uwagę na kilka
spraw, które mają zasadnicze
znaczenie dla dalszego rozwoju
STN. Wydaje się, że istnieje po-
treba rozwinąć szerokiej dysku-
sji na ten temat, aby wprowadzić
całkowitą jasność co do charakte-
ru i treści pracy naukowo-bada-
wczej.

STN powinno być pomocnikiem
uczelnii na odcinku rozwijania pra-
cy naukowo — badawczej studen-
tów. Naukowość i partyjność — o-
to główne cechy tej pracy. Zasta-
nowmy się jak to niekiedy wyglą-
da w praktyce.

Do KN zakradają się elementy
nienaukowości i wypaczenia cha-
rakteru pracy naukowo — badaw-
czej. Tak np. niektórzy aktywiści
Politechniki Warszawskiej uważa-
ją, że KN winny organizować za-
bawy, wieczorki, imprezy sporto-
we. W SGGW za pracę naukową
uważano sadzenie drzewek we
wsiach i PGR-ach. Na konferencji
STN szkół technicznych we Wro-
cławiu wskazywano, że członkowie
KN wykonują usługowe i pomoc-
nicze prace dla katedr. Na konfe-
rencji STN Akademii Medycznych
przedstawiciele STN z AM Kraków
głosili tezę (nie popartą zresztą
przez inne Akademie), że w pracy
KN nie trzeba nastawiać się na ja-
kieś osiągnięcia naukowo — bada-
wcze, na samodzielną pracę nauko-
wą, gdyż to odstrasza innych stu-

dentów od pracy naukowej. Nie
negując znaczenia powiązania pra-
cy KN z praktyką, z przemysłem
— istnieje obawa, że niektóre pra-
ce KN uczelni technicznych mają
charakter wyłącznie usługowy i
nie są opracowane przy pomocy
metody naukowej.

Fakty te świadczą o niewłaści-
wym, nieprzemyślanym niekiedy
kierunku pracy KN. Nie ulega wą-
tpliwości, że musi to być pra-
ca twórcza, wnosząca coś nowego.
Trzeba oprzeć się na wskazówkach
Lenina, który traktując naukę ja-
ko funkcję poznania wskazał na
trzy elementy, trzy stopnie pozna-
nia:

1. postrzeganie faktów,
2. wyciąganie myśli uogólniające,
3. sprawdzanie tych myśli w
praktyce.

Jeżeli te elementy będą stanowi-
ły podstawę planu pracy naukowo-
badawczej STN, podstawę samo-
dzielnej pracy każdego studenta,
jeżeli będziemy posługiwać się ta-
ką metodą — to zapewnimy nau-
kowość w pracy STN. Oczywiście,
że zakres, poziom i wyniki tej pra-
cy zależą od stopnia przygotowania
teoretycznego i metodologicznego
członków STN, ale niewątpliwie
taki winien być kierunek ich dzia-
łalności.

Koła naukowe muszą stać się te-
renem ożywionych dyskusji światop-
oglądowych, elementem walki o
kształtowanie naukowego światop-
oglądu. Tymczasem w STN obser-
wujemy dwa niebezpieczne zjawis-
ka...

po pierwsze: treścią pracy KN są
bardzo rzadko problemy światopo-
glądowe, a poszczególne prace roz-
patruje się w sposób abstrakcyjny.

„czysto“ naukowy (uczelnie tech-
niczno, medyczny);
po drugie: w niektórych pracach
przesadza się fałszywe, nienaukowe
teorie i co gorsza, nie znajduje to
odporu na konferencjach, w dysku-
sjach. Np. w WSR w Olsztynie, na
udanej skądinąd konferencji, w
trzech referatach zawarte były te-
zyz malutkizantizmu. Na Akademii
Medycznej w Warszawie przytacza-
no nieraz opinie zagranicznych re-
akcyjnych profesorów bez krytycz-
nego ustosunkowania się do nich.

Na teź Akademii prowadzono pra-
cę na temat „Wpływu stanu mig-
dałków na postępy w nauce“, w
której abstrahowano od wpływu
środotwiska, warunków itp.

Wydało się, że plan KN powin-
nie być tak zbudowany, aby obok
zagadnień praktycznych uwzględ-
niono również zagadnienia teore-
tyczne i światopoglądowe (nie ty-
ko w naukach humanistycznych).
Trzeba czuć nad tym, aby roz-
pracowanie poszczególnych tema-
tów było oparte o marksistowską
metodę naukową.

Zasadniczym kierunkiem pracy
naukowej — badawczej w poszcze-
gólnych typach uczelni winna być
troska o przepełnienie konkretnych
prac specjalistycznych treściami
światopoglądowymi. Niesłuszna jest
tutaj dwutorowość tzn. istnienie z
jednej strony kół nauk społecznych
z abstrakcyjną tematyką, z drugiej
z — kół specjalistycznych o
wąskim, praktycznym charakterze.
Rozwiązanie może iść w dwóch kie-
runkach: albo plany KN nauk spo-
łecznych będą obejmowały tematy

związane ze specjalnością uczelni,
albo też w kołach specjalistycz-
nych będą rozpatrywane m. in.
problemy ideologiczne, teoretyczne
— przy pomocy konsultantów z
tych katedr.

Wyniki w pracy naukowej — ba-
dawczej zależą przede wszystkim
od czterech czynników: aktywnej
pracy i zdolności studentów, opi-
ki i pomocy kadry naukowej, wła-
ściwej organizacji pracy oraz wła-

też nawet stojących na pozycjach
idealistycznych. KN winny bowiem
być płaszczyzną dyskusji światopo-
glądowych, jednym z ważnych czyn-
ników wychowawczego oddziaływa-
nia na tę część młodzieży, która
ma wątpliwości lub zajmuje nie-
słuszne stanowisko w sprawach na-
ukowych.

Osiągnięcia w pracy naukowo-ba-
dawczej są w dużym stopniu wy-
nikami rosnącej aktywności i prze-
konywania się do idei STN coraz
większej ilości profesorów i pra-
cowników nauki. Z radością słu-

szącemu

szącemu

szącemu

szącemu

szącemu

sz

Rozważania po Festiwalu Muzyki Polskiej

Zaczął się niezwykle szumnie. Entuzjaści ochrzczili go mianem „Warszawskiej Wiosny” (przez analogię z dorocznym Festiwalem w Pradze Czeskiej — „Pražské Jaro”). Zakończył się przed paroma dniami — cicho i spokojnie. Jedynie parę dzienników podało w mniej lub w więcej atrakcyjnej formie komunikat o zakończeniu II Festiwalu Muzyki Polskiej, cytując z triumfem słowa prezesa ZKP prof. K. Sikorskiego, że według przewidywań obliczeń w czasie Festiwalu odbyło się 200 koncertów, na których wykonano około 450 utworów 80 kompozytorów polskich, a których słuchało 150 tysięcy słuchaczy.

Przyjemnie brzmią cyfry. Jednak każdego kto był choć na jednym koncercie festiwalowym uderzyły pustki — rzadko spotykane w Filharmonii. Ogromną większość publiczności, (która zaledwie w połowie zdołała zapelniać salę) stanowili muzycy, kompozytorzy, wykonawcy i ich rodziny. Jakże mało było zwykłych tzw. szarych słuchaczy! Powiecie — nieprawda. Owszem, byli. Na koncercie orkiestry Cajmera, Rachonia czy Gerta sala była nabita. Ale gdy S. Wisłocki dyrygował współczesnymi dziełami symfonicznymi — kasy nie sprzedawały chyba ani połowy biletów.

A jednak obecni na Festiwalu goście — muzycy zagraniczni byli zdumieni frekwencją. Jeden z nich, Belg, miał się podobno wyrazić, że gdyby ktoś zechciał dziś w Brukseli zorganizować Festiwal belgijskiej muzyki współczesnej — zjawiliby się niewielu ponad 50 słuchaczy.

Mamy większe aspiracje. Pragniemy maksymalnego porozumienia między współczesnym kompozytorem i jego dzisiejszym słuchaczem. Uważamy, że niska frekwencja publiczności na koncertach festiwalowych świadczą o pewnych zaniedbaniach w tej dziedzinie. Dlaczego istnieje taka duża różnica w zainteresowaniu społeczeństwa muzyką rozrywkową, popularną, a tą (trudno i darmo) „niepopularną”, którą inni chętnie nazywają muzyką „poważną”? O czym to świadczy?

Czy może oznacza to, że nasza współczesna muzyka jest niedobra, zła, że nie mamy utalentowanych kompozytorów? Ależ nieprawda — po trzykroć nieprawda! Sukcesy odnoszone poza granicami kraju, szczerzy entuzjazm małej grupy ludzi, uznanie wybitnych fachowców, zupełnie oczywisty wysoki poziom techniki kompozytorskiej — to cechy, które dają się odnieść do niejednego z współczesnych (często młodych) kompozytorów polskich.

A więc ani brak talentów, ani zanik sił twórczych nie są przyczyną tak małego zainteresowania ze strony społeczeństwa dla współczesnej twórczości kompozytorów polskich. Przyczyna bowiem leży po drugiej stronie przepaści, jaka dziś dzieli kompozytora od słuchacza.

Mówi się często, że współczesna muzyka jest trudna, że nie można jej słuchać. Ale zapomina się przy tym, że nie rodzi się ona znikąd, lecz powstaje na podłożu bogatych tradycji, do których obok Chopina i Bacha, wchodzi Mozart i Czajkowski oraz wielu, wielu innych kompozytorów — uznawanych, wykonywanych i podziwianych, którzy nie powodują już dziś zastrzeżeń, że ich muzyka jest trudna i nieprzystępna. Czy więc chodzi tu o tzw. perspektywę historyczną, pewne odalenie czasowe, które „uprzedzi” tę początkowo trudną muzykę? Nie — bo sam ruch zegarka, pewien wpływ czasu, na muzykę nie ma bezpośrednio żadnego wpływu.

chaliśmy na różnych konferencjach i naradach przemówień profesorów, świadczących o dużej pomocy kadry naukowej dla STN. Są jednak wypadki bierności, niedoceniania tego odcinka pracy przez niektórych pracowników nauki, a szczególnie mały jest udział asystentów. Stąd wysuwa się postulat pod adresem MSW i MZ, aby bardziej mobilizowały profesurę do pracy naukowo — badawczej prowadzonej przez studentów.

Jest natomiast wiele niejasności co do pracy organizacyjnej. Występuje tu niebezpieczeństwo rozbudowy STN jako wielkiej, niejako autonomicznej organizacji w uczelni, jak również przetrwania i skomplikowania form, nazw, instytucji. Tendencja do rozbudowy STN jako „potężnej” organizacji doświadczenia wyszła na konferencji szkół technicznych we Wrocławiu, co zresztą słusznie skrytykował przedstawiciel AGH. W planie pracy STN Politechniki Wrocławskiej przewidziane jest np. rozszerzenie „aparatu” organizacyjnego STN. W niektórych STN wydaje się systematycznie pisać instrukcje; są konferencje teoretyczne i naukowe, zebrania szkoleniowe i seminaria w KN, kola przedmiotowe i naukowe, biura organizacyjne, komisje konsultacyjne itd.

W Związku Radzieckim, gdzie STN mają duże osiągnięcia i doświadczenia, ich struktura nie jest wcale tak skomplikowana, istnieje natomiast duża prostota i przejrzystość w tej pracy. STN w uczelniach radzieckich składa się z szeregu kół naukowych, które co pewien czas mają zebrania, raz lub dwa razy do roku organizowane są

Chodzi tu więc o tzw. nawyki słuchowe, które powodują, że muzykę Czajkowskiego prawie wszyscy rozumieją, czują, przeżywają, a muzyka Baciewiczówny czy Wisłockiego prawie wszystkim wydaje się dziwna, co najmniej niezrozumiała i nie nie wyrażająca.

Zespół nawyków, przyzwyczajenie do pewnych współbrzmień, pewnego zasobu połączeń harmonicznych, takiego a nie innego użycia instrumentów, rytmiki itp. — ten zespół nawyków jest naturalnie bardzo zmienny i łatwo ulega rozszerzeniu. Ale oczywiście nie zmienia się sam i z własnej inicjatywy. Jedynie przez częste obcowanie ze współczesnymi dziełami muzycznymi można się nauczyć je rozumieć. Przestają być niezrozumiałym szeregiem dźwięków, prawie hałasem, a stają się muzyką pełną wzruszenia, bliską i potrzebną.

Wszystkie te sprawy są tak znane, że aż wstyd je powtarzać. Ale symptomatyczne pustki w Filharmonii każą się poważnie zastanowić nad dotychczasową działalnością na polu popularyzacji muzyki, działalnością, która jest świadomym kształtowaniem i rozwijaniem tych właśnie nawyków słuchowych społeczeństwa. Wiele się bowiem mówi o wychowywaniu „nowego” słucha-

cza. Niektórzy krytycy śpiewają hymny pochwalne, zapatrzeni w czarowną wizję wymaganych robotników i chłopów, którzy, jak Polska długa i szeroka, w nabożnym skupieniu słuchają arcydzieł muzyki światowej.

Bujda. Nie słuchają i nigdy słuchać nie będą, jeśli się ich tego nie nauczy. Kiedy? Gdzie? Za młodu, w szkole. I tutaj dotykamy jednej z bolesnych przyczyn rosnącego analfabetyzmu muzycznego, który szczególnie bujnie rozwija się wśród młodzieży (jest to również sprawa analfabetyzmu plastycznego).

Młodzież, która uczy się w szkołach, nie dowiaduje się w nich niczego o muzyce. Ani słowa zachęty czy wyjaśnienia ze strony nauczyciela, który często sam na widok nazwiska Bacha ze zdziwieniem sięga do encyklopedii. Stąd się bierze ów wielki kult muzyki tanecznej i jazzowej — bo to jest muzyka, której cel i przeznaczenie (nie wartości) wszyscy prawie zrozumieć potrafia. Stąd podziw dla perkusji i saksofonu, a pogarda dla wiolonczeli czy oboju. Stąd na Cajmerze nabita sala, a na Wisłockim pustki.

I nie pomoże wydawanie monografii, organizowanie koncertów, pisanie popularyzacyjnych artykułów,

pogadanki i odczytów czy nawet spotkania z kompozytorami — jeżeli ta zasadnicza sprawa pozostanie nie zmieniona. Młodzież powinna w szkołach poznawać muzykę. W przeciwnym razie dojść może do tego, że X Festiwal Muzyki Polskiej nie będzie się mógł odbyć, bo nie starczy wykonawców i zabraknie słuchaczy.

Na razie dość tych zaprawionych goryczą rozważań. Poza sympatią publiczności istnieją jeszcze obiektywne kryteria, które pozwalają ocenić wartość dzieła muzycznego. I mierząc tą miarą trzeba stwierdzić, że nie brak nam dzisiaj talentów kompozytorskich o dużym ciężarze gatunkowym. Choć niewiele usłyszeliśmy dzieł nowych (bo Festiwal podsumować miał X-lecie), lecz pozycje takie, jak III Symfonia Szabelskiego, balet — pantomima „Wierch” Malawskiego świadczą o wysokim poziomie sztuki kompozytorskiej. Dzieła młodszych twórców znakomicie reprezentował koncert fortepianowy S. Wisłockiego. „Ballada” Bairda. Najmłodszy — Kotoński, Koszewski reprezentowali kompozycje ciekawe choć niejednokrotnie wymagające dyskusji.

*

L. ERHARDT



1 czerwca br. 140000 studentów Polski zaczyna sesję egzaminacyjną. Trudno jest wyobrazić sobie jej przebieg na wszystkich uczelniach naszego kraju, jeszcze trudniej poznać wszystkich odpytujących i zdających w 88 wyższych zakładach naukowych.

Oto egzamin z ekonomii politycznej na Akademii Wychowania Fizycznego w Warszawie. Sądząc ze zdjęcia, egzamin idzie dobrze, tak było w rzeczywistości.

FOTO: Jerzy Wojciechowski

Wyniki I Ogólnopolskiej Studenckiej Olimpiady Szybkiej Orientacji

W pierwszej OSOSO odbytej w dniu 21 maja br. tytuły Mistrzów Szybkiej Orientacji zdobyli następujący studenci:

KRAKÓW			
Wyższa Szkoła Rolnicza		Jerzy Sokolowicz	18,4
Adam Woźniak	20,6	Zbigniew Lubczyński	18,4
Stanisław Jaworski	20,6	Eugeniusz Szmak	18,4
Wiesław Gondęk	19,5	Wyższa Szkoła Ekonomiczna	
Jerzy Zwierchowski	19,5	Jerzy Chwiałkowski	17,4
Emil Konieczny	18,4	Mirosław Kwoka	16,3
Barbara Repeć	17,4	Saturnin Pisarczyk	16,2
Stanisław Wężyk	17,3	Józef Hanusz	15,1
Józef Pabian	17,3	Uniw. im. B. Bieruta	
Akademia Medyczna		URSZULA SZUBERT	25,0
Jan Ciekievicz	17,3	Jerzy Żółkiewski	20,6
Maria Janik	16,2	Jan Rudłowski	18,5
Barbara Lencińska	16,2	Grzegorz Rudowski	18,4
Róża Janicka	16,2	Wyższa Szkoła Rolnicza	
Jerzy Gralek	16,2	Antoni Gońka	18,4
Jadwiga Lis	16,2	GLIWICE — Polit. Śląska	
Akademia Górniczo-Hutnicza		Tadeusz Gruska	21,7
Mieczysław Rucido	20,7	Czesław Kozłowski	19,7
Zbigniew Zydron	20,6	Janusz Ilczyński	19,5
Lesław Frączek	20,6	Andrzej Piecka	19,5
Stanisław Szczęotka	20,6	Henryk Jedryś	18,5
Jan Kzyppkowski	19,5	Adolf Maciejny	18,4
Jarosława Szwed	18,4	SZCZECIN	
Akademia Sztuk Plastycznych		Wyższa Szkoła Ekonomiczna	
Andrzej Pietsch	20,8	Romuald Szymanowski	17,3
Adolf Jakubowicz	19,4	Bobrowicz	17,3
Stanisław Stawicki	16,3	Wojciech Gaje	16,2
Anna Nożyńska	16,1	Szkola Inżynierska	
Marek Rozwadowski	14,0	Czesław Mikielcz	19,5
Wyższa Szkoła Pedagogiczna		Stanisław Legutko	17,3
Franciszek Serafin	17,3	Pomorska Akademia Medyczna	
Alojzy Ziełocki	17,3	Alfred Gritzman	19,4
A. Matulewski	17,3	Stefan Glowacki	17,3
Wanda Rusinkiewicz	16,2	OLSZTYN — Wyż. Szk. Roln.	
Politechnika Krakowska		Slawomira Jankiewicz	21,4
Slawomir Podolak	22,8	Zdzisław Redosz	19,5
Jerzy Bendo	20,6	Anna Iebode	19,5
Jerzy Ullman	19,6	CZĘSTOCHOWA	
Stanisław Urbański	18,5	Szkola Inżynierska	
Jerzy Dydenko	16,4	Zbigniew Głowiak	18,4
Wyższa Szkoła Ekonomiczna		Wiesław Cieśla	18,2
Jerzy Karaszewski	20,6	Marian Bien	17,3
Cecylia Szubert	20,6	Wyższa Szkoła Ekonomiczna	
Zdzisław Krzyżanowski	18,4	Henryka Rakowska	14,1
Krystyna Kiklinska	18,4	GDANSK	
Uniwersytet Jagielloński		Politechnika Gdańska	
Hieronim Mykietuk	21,7	Jacek Mach	20,6
Zbigniew Siatkowski	20,6	Przemysław Wierchowiski	20,6
Sylwester Waleryan	18,4	Włodzimierz Majewski	19,5
Państw. Wyż. Szk. Muz.		Aleksander Zastawny	19,5
Jan Fedorowicz	19,6	Zdzisław Matyja	19,5
Jerzy Heller	19,5	PAŃSTW. WYŻ. SZK. AKT.	
Państw. Wyż. Szk. Akt.		Zbigniew Żwak	19,5
Zbigniew Żwak	19,5	POZNAN	
		Wyższa Szkoła Ekonomiczna	
		Mieczysław Kozłowski	21,7
		Jan Cinal	21,6
		Wiesław Wal	20,6
		Zenon Korcz	20,6
		Walerian Tomaszewski	20,5
		Marian Niznik	19,6
		Marek Kęsy	19,5
		Eugeniusz Wilk	19,5
		Jan Woś	19,5
		Bronisław Kurek	19,5
		Marek Cieško	19,5
		Akademia Medyczna	
		Janusz Maciejewski	22,8
		Jerzy Sikorski	21,7
		Mirosław Bendyk	19,5
		Wiesława Grabowska	18,4
		Krystyna Zajackowska	18,4
		Uniwersytet Poznański	
		Bernard Miszewski	21,7
		Henryk Szatkowski	20,6
		Jerzy Moch	20,6
		Maciej Pielarz	20,6
		Czesław Jakubiec	19,5
		Wyższa Szk. Wych. Fiz.	
		Krystyna Schmidt	20,6
		Zdzisława Wcisło	18,4
		Wyższa Szkoła Rolnicza	
		Władysław Maciejewski	19,5
		Ireneusz Ruszynek	19,5
		Szkola Inżynierska	
		Ryszard Andrzejak	18,4
		TORUN — Uniw. M. Kopernika	
		Roman Samsel	22,8
		Janusz Rulka	22,8
		Zbigniew Zalewski	21,7
		Janusz Trzodziński	21,7
		Krzysztof Różański	20,6
		St. Frawiński	20,6
		Franciszek Szalach	20,6
		Danuta Kurchan	20,6
		OPOLE — Wyższa Szk. Pedag.	
		Tadeusz Nalewajko	19,3
		Władysław Sapa	18,4
		Stanisław Buchal	18,3
		Zbigniew Kołodziejczyk	16,2
		BIALYSTOK — Akad. Med.	
		Waldemar Szwałkowski	22,9
		Jakub Lyżwa	22,8
		Anna Pawlikowska	21,7
		Stanisław Skórzewski	19,5
		WROCLAW	
		Politechnika Wrocławska	
		Jerzy Kołodziejczyk	18,4
		Marceli Zieliński	18,4

Redaguje kolegium.
Wydawca: Instytut Prasy „Czy-
telnik”.
Adres Redakcji: Warszawa 18
ul. Wiejska 17/1. Telefon: red-
nacz — 641 24, Centrala 832 91.
Prenumerata POPROSTU: miesięcz-
nie — zł 1,40, kwartalnie — 4,20
rocznie — 8,40.
Administracja: RSW „Prasa”, III
Delegatura, Warszawa, ul. Marszał-
kowska 8, tel. 807-11.
Drukarnia: RSW „Prasa”, Warsza-
wa, Marszałkowska 3/5.
Zam. nr 1187. B-6-5949.



Sport



Sport



Sport



Sport



Sport



Zdobycie Wielkiej Góry

(Dokończenie)

S trzelistych szczyt K2-Czogo-Ri stanowił od przeszło pół wieku cel ambitnych wypraw alpinistów. Żadna jednak z tych wypraw nie dała upragnionego rezultatu; wielu wytrwałych alpinistów zapłaciło życiem za odwagę.

Mimo tylu niepowodzeń stało się jednak rzeczą oczywistą, że pół wieku upartych wysiłków przybliżyła z wolna, lecz konsekwentnie moment rozstrzygnięcia zmagania. Wielka Góra musi ulec w końcu rozumemu wysiłkowi ludzkiemu...

Kłeska ekspedycji amerykańskiej w roku 1953 spowodowała, że rząd Pakistanu przyrzekł na rok 1954 pozwolenie tylko na jedną wyprawę na Czogo-Ri, udzielając go Włoskiemu Klubowi Alpejskiemu.

Przygotowania Włochów do wyprawy mają charakter bardzo poważny. Koszta wyprawy wynoszą około 120 mln. lirów, bagaż waży 16 ton, w skład ekwipunku wchodzi najnowocześniejszy sprzęt. Cały bagaż przesyłany zostaje samolotami do Skardu nad Indusem — jest to ostatni port lotniczy w drodze do masywu Karakorum.

Stąd też w dniu 30 kwietnia 1954 roku rozpoczyna swój pochód w głąb gór 21 „najlepszych spośród najlepszych” włoskich alpinistów. 500 tragarzy niesie ogromny bagaż do bazy znajdującej się na wysokości 5000 m. Już jednak w czasie przemarszu w górę lodowca Baltoro (o długości 50 km) rozpoczynają się pierwsze przeszkody. Tragarze — górale z plemienia Hunza — dezercerują zniechęceni ciężkimi warunkami atmosferycznymi, jakie panują od początku wyprawy. Hunzowie są wprawdzie odważni, ale jako wspinacze — niedoświadczeni i nieutalentowani. Alpinisci sami wynoszą ładunki do poszczególnych obozów.

Kiedy wreszcie pogoda nieco się poprawia — przychodzi nowe niepowodzenie. Doświadczony alpinista, mocny jak dąb Mario Puchoz zaziębia się w kilka dni później, mimo zastosowania wszelkich środków leczniczych — umiera. Jest to już 6 śmiertelna ofiara Wielkiej Góry.

Chociaż pogoda nadal jest podła, grupa złożona z czterech alpinistów

podejmuje śmiały wypad i 19 lipca dociera do wysokości 7700 m gdzie zakłada obóz VII. Cierpliwość i opanowanie, które bez wątpienia są zasługą starego Desio, kierownika wyprawy, przynoszą wreszcie rezultat. W dniu 23 lipca, a więc ponad 80 dni od wymarszu ze Skardu, uczestnicy wyprawy po raz pierwszy ujrzeli wierzchołek Czogo-Ri. Dodaje to siłę całemu zespołowi tak dalece, że już w dniu 28 lipca do bazy nadchodzi wiadomość, że sześciu wspinaczy (w tym jeden Hunza) założyło obóz VIII na wysokości 7900 m, u stóp piramidy szczytowej. Ponieważ obóz VII jest doskonale zaopatrzony w żywność i sprzęt techniczny — tych sześciu ludzi, którzy małe namioty uczepili się piramidy szczytowej Wielkiej Góry, winno rozegrać finał gry o zdobycie Czogo-Ri! Od współdziałania z nimi zależy w głównej mierze wynik walki. Są doskonałymi wspinaczami o dużym doświadczeniu.

Rankiem 30 lipca Compagnoni i Lacedelli ruszają w górę, by założyć obóz IX, z którego nastąpi atak szczytowy. Pozostali czterech schodzą do obozu VII. Compagnoni i Lacedelli zakładają obóz IX na wysokości 8100 m. Nadawanie jednak oczekują przybycia grupy wspierającej, z której zaledwie dwóch dociera do obozu VIII, gdzie zwała ich z nóg potworny wysiłek wspinaczki. Dwóch pozostałych osiąga krawędziowym wysiłkiem punkt położony na wysokości 8000 m, a więc o 100 m poniżej obozu IX i tu ostatkiem sił przygotowują sobie prowizoryczny przymosowy biwak, na którym spędzają noc.

Nazajutrz wychodząc z namiotu Compagnoni i Lacedelli spostrzegają dwa fakty: że panuje wspaniała pogoda oraz że sto metrów poniżej biwakują dwaj towarzysze z częścią zapasów żywności i tleniu. Schodzą do nich spiesząc i tu zapada pierwsza decyzja: atakować szczyt z tego miejsca bez oczekiwanego na doniesienie reszty zapasów z obozu VIII! Trzeba pokonać 700 metrów wzniesienia. Jest diabelnie mało czasu i brak dostatecznej ilości tlenu na powrót — ale jest wspaniała, bezwietrzna i słoneczna

pogoda. — pierwszy raz od początku wyprawy!

Teren jest niezbyt stromy, partie skalne wspinaczki dość łatwe. Jedynie mało nośny śnieg powoduje uciążliwe zapadanie się po kolana. W południe posuwanie staje się coraz trudniejsze. Compagnoni i Lacedelli są już bardzo wyczerpani. W pewnym momencie przerażeni spostrzegają, że aparaty nie dostarczają tlenu; gorączkowo sprawdzają zawory i mechanizm aparatury. Wszystko działa w porządku. Po prostu na skutek wielkiego wysiłku zbyt szybko wyczerpali szczupły zapas tlenu zawarty w butlach.

Dwaj alpinisci muszą teraz rozstrzygnąć: natychmiastowy odwrót — a więc rezygnacja ze zwycięstwa — albo dalszy atak bez tlenu. Zapada jedna z tych decyzji, o których tak niechętnie jest użyć przymiotnika: bohaterska.

Dalszy atak jest już bowiem tylko straszną walką z osłabieniem, brakiem tlenu, walką resztek ogromnej woli z organizmem! Coraz trudniej oddychać, każdy krok stanowi nieopisaną mękę. Co kilka kroków muszą długo odpocząć, by znów złapać oddech.

W słonecznym dniu 31 lipca u szczytu Czogo-Ri rozgrywa się dramatyczna walka ogromnej woli z ograniczonymi siłami organizmu. Ślaniający się wspinacze czują łomotanie serca w gardle, w oczach robi się ciemno i tylko to, że teren pod ich nogami przestaje się wreszcie wznosić uświadamia im fakt zdobycia szczytu!

Jest godzina 18. Moment osiągnięcia wierzchołka wyzwala rezerwy sił: dokonując zdjęć filmowych odrzucają puste aparaty tlenowe i rozpoczynają „finale furioso” — zejście do obozu VIII. Jest to już tylko wyjście ze śmierci. Półprzytomni, usiłując resztkami świadomości zachować środki ostrożności. Dwukrotnie spadają po dziesięć i dwadzieścia metrów w dół, zatrzymując się jednak w upadkach i wloką dalej. O godz. 23-ej przychodzą do obozu VIII i tu zajmują się nimi pozostali towarzysze. Jest gorąca herbata i ciwibak. Następnie dwaj zajmują zejście do bazy. Compagnoni i Lacedelli meldują kierownikowi wyprawy o zdobyciu drugiego szczytu kuli ziemskiej. W

kilka dni później dumny meldunek obiegnie cały świat. Zwycięzcy czeka jeszcze długie leczenie odmrożonych policzków i rąk, operacje plastyczne... Wielkich sukcesów nie osiąga się łatwo!

Wkrótce potem na piątym z kolei szczyście ponad 8000 m stanęła noga człowieka. Austriacy zdobyli Cho Oyu (8153 m). Doszły również niesprawdzone wiadomości o zdobyciu przez Francuzów jednego z wierzchołków (niższego) Makalu, którego główny szczyt ma 8457 m i stanowi piąty szczyt świata. Wczesną wiosną 1955 roku odleciała z Francji do podnóża Himalajów nowa wyprawa na Makalu, a kilka tygodni temu wyruszyła kolejna ekspedycja na Dhaulagiri (8172 m).

I znowu w tym roku kilkanaście wypraw z całego świata rusza na podbój olbrzymów himalajskich. Wśród nazw państw, z których wyruszają nowi zdobywcy himalajskich szczytów, boleśnie uderza brak imienia Polski.

Polscy alpinisci mają swe chlubne karty w księdze zdobywców i odkrywców wysokich gór. Najwyższe szczyty Andów, afrykańskie szczyty Atlasu, mało zbadane góry Ruwenzori, góry Grenlandii, Kaukaz, Alpy — widziały piękne, a często pierwsze zdobywcze przejścia polskich wspinaczy. Jedną polską wyprawę w Himalaje przyniosła zdobycie przez Bujaka i Klarnera 2 lipca 1939 r. wschodniego wierzchołka Nanda Devi (7430 m.). Polski debiut w Himalajach (była to wspaniała wyprawa doświadczalna w swym założeniu) przyniósł więc olbrzymi sukces. Weszliśmy szturmem w rodzinę narodów himalajskich. Nagłówki w gazetach donoszące o tym sukcesie nikły jednak wobec tłustych liter wiadomości politycznych. Był to sierpień 1939...

Minęło piętnaście lat, a alpinisci polscy — dysponujący od szeregu lat liczną i doskonałą czołową młodą wspinaczką oraz kadrą doskonałych znawców gór wszystkich kontynentów — zdolali czterokrotnie przekroczyć jedynie granice czeskosłowacką, by przez kilka tygodni wspiąć się na Tatry Słowackie (nie licząc grupki szczęśliwców, uczestników polskiej wyprawy treningowej w Alpy w roku 1947). Czy nie czas, by nasze gazety mogły zamieszczać wiadomości o zdobywaniu przez Polaków nowych, dziewiczych olbrzymów Himalajskich?

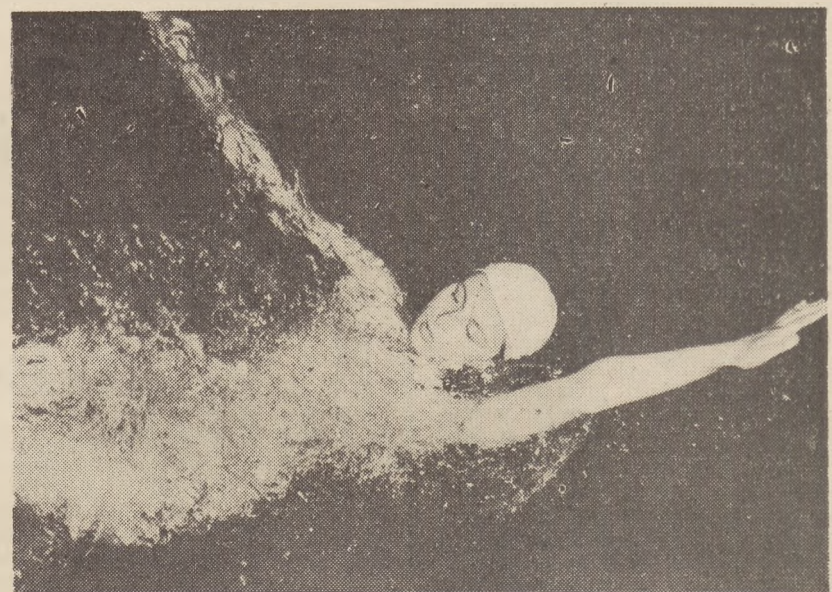
WACŁAW NOWYK

We Wrocławiu

W dniach 27—29 maja odbyły się we Wrocławiu Ogólnopolskie Igrzyska Sportowe Uniwersyteckie. Na Stadionie AZS na Złazisku ścignęło ponad 1000 dziewcząt i chłopców. Spartakiada dała wspaniały przegląd dorobku tych uczelni w wielu dyscyplinach sportowych. Mistrzem Igrzysk został zespół studentek i studentów Uniwersytetu Warszawskiego.



Spartakiadę rozpoczyna defilada...



Mistrzostwo na 100 m stylem orzebi. kobiet zdobyła Irena Biechańska z Uniwersytetu Poznańskiego.

Foto T. Drankowski

Fortel na złą żonę



Rys. MAJA BEREZOWSKA

Niejednemu zła żona, bo i słusznym wstrętem
Ze się stanem małżeńskim nie chce wiązać świętym,
Jeśli tak, jako o niej dawne piszą karty,

Ze na ziemi padalce, w piekle przejdzie czarty.
Wielki despekt, lecz na to zażyje sposobu:
Złą babę pojąć, przedzej pośpiesz do grobu!

WACŁAW POTOCKI

Studenckie dyskusje

T ym młodzieńskim rocznikom studentów, które teraz zasiadają na coraz bardziej wygodnych, bo wytartych ciablami poprzędków ławach, i które mogą się poszczycić w Warszawie własnym teatrem satyrycznym — może się wydać dziwne owo zainteresowanie, z jakim kilka lat temu rzucał się na wszelkie słowo drukowane o studentach ich starsi koledzy. Nie pisano o nich ani opowiadań, ani powieści, ani dramatów. Toteż nawet byle listę kwestur z przyznanymi stypendiami czytało się żarliwie i lapczywie. Nic przeto dziwnego, że kiedy zorganizowano pierwszą dyskusję nad świeżo wydaną pierwszą książką o tematyce studenckiej — sala była nabitą po brzegi.

Zagał student filologii polskiej, który w kółkach słowach scharakteryzował rozwój tej tematyki w literaturze naszej czterech ostatnich wieków. Okazało się, że nie jest

jak źle jak się wydaje, bo mieliśmy i mamy wcale bogatą literaturę żakowską — na przykład „Bunt żaków” Szeligowskiego. Następnie kierując się przypadkową zbieżnością nazw wielkiego dzieła Mickiewicza i sytuacji materialnej studentów zajął się „Dziadami”.

Jako drugi mówił student rusystyki, który powiedział to samo tylko w odniesieniu do literatury rosyjskiej.

Studentka orientalistyki mówiła o tym samym w literaturze Chin (z pominięciem Tajwanu).

Studentka archeologii napomknęła już zupełnie krótko o pierwszej wojnie światowej.

Do następnego tematu w dyskusji nad książką przeszedł student ekonomii politycznej, który starał się uzasadnić wpływ renty gruntowej na życie studentów.

Ze względu na pokrewieństwo tematu zabrał go nim głos student rolnictwa, naświetlając wyczerpu-

jąco problem: gleba jałowa a student.

Perfidnie skorzystał z tego student — członek koła młodych literatów i odczytał swój nowy poemat „Ja a student”.

Wobec tego student matematyki przedstawił zebrany cyfry w procentach dotyczące ilości studentów noszących okulary za sanacją i obecnie. Okazało się, że jeszcze nie doszliśmy pod tym względem do stanu przedwojennego, co wywołało żywe niezadowolenie i protesty zgromadzonych.

I wszystko byłoby dobrze, gdyby nie przerwa. Długo podczas przerwy dowiedzieliśmy się z przerażeniem w towarzyskiej rozmowie, że część dyskutantów mówiła o „Studentach” Trifonowa, a druga część o „Herkulesach” Stawińskiego.

Nazajutrz w ramach zobowiązań pierwszomajowych masowo przyrzekano przeczytać choć jedną z powyższych książek o studentach.

HENRYK BARDIJEWSKI

S a rzeczy, a między innymi i egzaminy, które można wygrać stosując odpowiednią taktykę. Nie wierzyście? — Sami się przekonacie. Oto kilka tabletek „taktycznego” zdawania egzaminów:



Pędzę na egzamin. Wiadomości tłoczą się w głowie: „surówka szara, surówka biała, magnetyt, hematyt...” — tak, metalurgie umiem. Ale co będzie z resztą? — Pozostałego materiału nie ruszyłem. Wreszcie drzwi gabinetu profesor. Pokój opuszcza sześciu kolegów. Wszyscy „obalili”, z wyjątkiem jednego. Porównuję szczęśliwie ze sobą. Tak, tamten elegancki, w wizerunkowym ubraniu... a ja? — Ja, tak skromnie, tak na codzień. Od czego jednak głowa. Spieszę do domu i wracam odmieniony. Mam teraz na sobie czarny garnitur, spod rękawów marynarki wyglądają sztywne mankiety śnieżnobiałej koszuli. Stroju dopełnia chusteczka w kieszonce. Pocięzony zwiększonymi szansami zdania egzaminu wchodzi śmiało do pokoju.

— Dzień dobry, pani profesor.
— Dzień dobry, proszę, niech pan siada — zaprasza mnie gestem profesorka do zajęcia miejsca.

— Bardzo panią profesor przepraszam, że jeszcze tutaj na egzaminie pozwolę sobie poprosić panią o małe wyjaśnienie. Przygotowując temat z metalurgii nie mogłem zrozumieć procesu wielkocięgowego, czy wobec tego pani profesor byłaby tak uprzejma...

— Trudno się oprzeć tak miłej prośbie, może jednak powie pan najpierw, czego się pan w ogóle dowiedział o metalurgii?

Powiedziałam wszystko, co umiałem, nie pomijając oczywiście procesu wielkocięgowego. Zdałem.

— Trudno się oprzeć tak miłej prośbie, może jednak powie pan najpierw, czego się pan w ogóle dowiedział o metalurgii?

Powiedziałam wszystko, co umiałem, nie pomijając oczywiście procesu wielkocięgowego. Zdałem.

— Trudno się oprzeć tak miłej prośbie, może jednak powie pan najpierw, czego się pan w ogóle dowiedział o metalurgii?

Powiedziałam wszystko, co umiałem, nie pomijając oczywiście procesu wielkocięgowego. Zdałem.

— Trudno się oprzeć tak miłej prośbie, może jednak powie pan najpierw, czego się pan w ogóle dowiedział o metalurgii?

Powiedziałam wszystko, co umiałem, nie pomijając oczywiście procesu wielkocięgowego. Zdałem.

— Trudno się oprzeć tak miłej prośbie, może jednak powie pan najpierw, czego się pan w ogóle dowiedział o metalurgii?

po krzywy

Z TEKI KONKURSU NA SATYRĘ STUDENCKĄ

Egzaminacyjne tabletki

waty i po „robociarsku” podwinęte rękawy. Przez drzwi doszły mnie odgłosy ich rozmowy:

— Dzień dobry, towarzyszu profesorze.

— Dzień dobry towarzyszom — odpowiedział jakiś dziwnie słodkim głosem egzaminator — bardzo, bardzo się cieszę, że wreszcie widzę kwiat młodzieży, to znaczy, chciałem powiedzieć, naukowy kwiat, bo wiecie, towarzysze, do tej pory były u mnie same plewy. Żaden nie zdał. Wszystkich musiałem wyrzucić za drzwi.

— Słusznie, towarzysz profesorze. Myślimy ich dosyć uświadamiali. Szczególnie sesji egzaminacyjnej poświęciliśmy kilkanaście zebrań mobilizacyjnych. Stale powtarzaliśmy im: „Uczyć się i bić się o wyniki”, „Bojowi” studenci jak z rogu obfitości sypali frazesy, cytaty, formułki. Oczekiwałem finału tego niezwykłego egzaminu.

— Ale za to towarzysze jako ludzie uświadomieni mają niewątpliwie dobrze opanowany materiał!

— Tak jest, towarzysz profesorze.

— A zatem, drodzy towarzysze powiedzcie, co najlepiej umieją.

— Przyszliśmy na egzamin — zagadnęły koleżanki zapracowanego po uszy profesora.

— Hm, kobiety. Umiecie dużo?

— Uczyliśmy się całe dwa tygodnie. Powinnyśmy zdać — odpowiedziały jednym tchem koleżanki.

— Ale ja mam dla was coś nadzwyczajnego — tego na pewno nie wiecie, ha, ha, ha panienci. Proszę mi powiedzieć, po czym poznać latem jadącego tramwajem cukrzyka (chorego na cukrzycę)?

— Wiemy, wiemy — po prostu po tym, panie profesorze, że muszka siadzie cukrzykowi na spodnie.

— Świetnie, wspaniale. Nie sądziłem, że tak doskonale będziecie pamiętały kawały, które opowiadałem na wykładach. Skoro jednak pamiętacie tego rodzaju szczegóły, to i wykłady musicie mieć w małym palcu.

— Keith-Flacka, Aschoff... — na próżno starałem sobie przypomnieć,

— Keith-Flacka, Aschoff... — na próżno starałem sobie przypomnieć,

— Keith-Flacka, Aschoff... — na próżno starałem sobie przypomnieć,

— Keith-Flacka, Aschoff... — na próżno starałem sobie przypomnieć,

— Keith-Flacka, Aschoff... — na próżno starałem sobie przypomnieć,

— Keith-Flacka, Aschoff... — na próżno starałem sobie przypomnieć,



— Przyszliśmy na egzamin — zagadnęły koleżanki zapracowanego po uszy profesora.

— Hm, kobiety. Umiecie dużo?

— Uczyliśmy się całe dwa tygodnie. Powinnyśmy zdać — odpowiedziały jednym tchem koleżanki.

— Ale ja mam dla was coś nadzwyczajnego — tego na pewno nie wiecie, ha, ha, ha panienci. Proszę mi powiedzieć, po czym poznać latem jadącego tramwajem cukrzyka (chorego na cukrzycę)?

— Wiemy, wiemy — po prostu po tym, panie profesorze, że muszka siadzie cukrzykowi na spodnie.

— Świetnie, wspaniale. Nie sądziłem, że tak doskonale będziecie pamiętały kawały, które opowiadałem na wykładach. Skoro jednak pamiętacie tego rodzaju szczegóły, to i wykłady musicie mieć w małym palcu.

— Keith-Flacka, Aschoff... — na próżno starałem sobie przypomnieć,

— Keith-Flacka, Aschoff... — na próżno starałem sobie przypomnieć,

— Keith-Flacka, Aschoff... — na próżno starałem sobie przypomnieć,

— Keith-Flacka, Aschoff... — na próżno starałem sobie przypomnieć,

JERZY LUTOMSKI
student IV roku farmacji
AM w Poznaniu